M.B. im. L.W. w Łodzi

W numerze: LUCJUSZ WŁODKOWSKI Nowy styl - nowa atmosfera • KAROL BADZIAK Dzień sądu • ANDRZEJ GRUN Wycieczka w zimowy pejzaż • O sezamie i 10 mln bezrobotnych • Zewsząd o wszystkim • Nowela • Konkurs

odgłosu

MIEJSKA BIBLIOTEKA SPOŁECZNO-HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

9 (693)
28. II. 1971 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV

Fot. W. PARYS

ANDRZEJ F. GRABSKI

Myśli o zaangażowaniu humanisty

ZAANGAŻOWANIE — słowo wytarte od bezustannego powtarzania, pozbawione zostało swej najistotniejszej treści. Cóż znaczy ono dziś, kiedy rzeczywistość społeczna ujawniła znów tę najoczywistszą z oczywistości, że kryterium oceny działania społecznego i politycznego są nie pobożne życzenia i dobre zamiary, lecz jedynie jego społeczne skutki? Właśnie one, w tej postaci, w jakiej się ujawniły, zawierają kategoryczny imperatyw nie tylko przemyślenia na nowo naszego stosunku do rzeczywistości, krytycznego rozważenia i optymalnej zmiany stylu społeczno-politycznego myślenia, ale przede wszystkim stylu społeczno-politycznego działania. Nie chodzi bowiem chyba tylko o to, byśmy w przyszłości uniknęli podobnych tragicznych wstrząsów — ale zwłaszcza o to, aby przywracając zgodność słów i myśli zreaktualizować wartości celu, do którego wspólnie zdążamy, by nadać mu znów żywsze barwy, uczynić bardziej określoną i społecznie komunikatywną tę perspektywę, która wiąże się z pojęciem socjalizmu.

Wszelkie działanie winno być bowiem działaniem celowym, a więc i ów cel winien być sformułowany jasno i zrozumiale dla wszystkich, którzy doń zmierzają, nie tylko cel doraźny na dziś, ale i dalszy, perspektywiczny, bowiem on to właśnie określa sens naszego wspólnego działania. Wielkie socjologiczno-polityczne formuły i hasła, w których zawarły się marzenia pokoleń rewolucjonistów i postępowych myślicieli, muszą przestać być akademijnymi sloganami, które powtarza się wprawdzie z szacunkiem, ale bez zastanowienia się nad ich treścią i każdy człowiek winien sobie uświadomić, że budownictwo socjalizmu oznacza dla niego coś więcej, niż tylko sumienne wykonywanie codziennych obowiązków, udział w takiej a takiej liczbie zebrań, szkoleń i akademii, co czas jakiś zadeklarowanie — w takiej czy innej formie — swego poparcia, zwłaszcza wtedy, kiedy ogłoszono już nowy etap.

Budownictwo socjalizmu, przyobleczone w konkretną i społecznie komunikatywną treść wymaga od każdego maksymalnego zaangażowania wszystkich sił i umiejętności, jest sprawą kolosalnego zbiorowego wysiłku. Powiada się o tym w kółko, ale podobnie jak wokół innych ważnych spraw, także i wokół tej narosło wiele nieporozumień i uproszczeń. Nie będę tu mówił o zaangażowaniu w ogóle — problem jest zbyt szeroki, aby go ogarnąć w całości — chodzi mi jedynie o aktualne zagadnienia zaangażowania współczesnego polskiego humanisty, to jest człowieka, który z istoty swojego zajęcia — niezależnie od tego, czy jest nim praca naukowa, czy twórczość literacka bądź ja-

Dalszy ciąg na str. 3

ROMAN ŁOBODA

Rzeźbienie krajobrazu

Był przecie czas siewu
i nieba pochylona czasza
a ziarno tęchło w śpichlerzach

Nie na ludzką potrzebę
ponad wszelkie pojęcie
przemknęło tą drogą krętą i wyniosłą
wszystko co z ziemi miało w miłość wrosnąć

Akordu trzeciego zabrakło
akordu tego co jak chleb powszedni

Cóż ludzkie serca i ręce
daleko nie zajdą same
nim przezroczyste powietrza gamy
przestrzenie ze zmierzchu odkurzą

Ale ręka czuła w przedwiośnie
miękko spoczywa na wichrze
nikt się teraz nie wyprze
że tego rzeźbiarza widnokręgów
ujrzeć winien w sobie

ze ŚWIATA

Bukareszteńskiej naradzie ministrów spraw zagranicznych państw — stron Układu Warszawskiego towarzyszyło duże zainteresowanie. W komentarzach prasy zachodniej tuż przed rozpoczęciem spotkania podkreślano, że z pewnością ministrowie położą główny nacisk na przyśpieszenie ogólnoeuropejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy i udzielą odpowiedzi na zastrzeżenia NATO, zgłoszone na niedawno odbytej sesji rady w Brukseli. Zdaniem komentatorów, spotkanie ministrów siedmiu krajów socjalistycznych w Moskwie, przy okazji podpisania układu o zakazie umieszczania broni atomowej na dnie mórz, dało okazję do porozumienia w sprawie szczegółów rozmów bukareszteńskich. Przypomniano również, że oficjalnie ideę konferencji państwa socjalistyczne wysunęły przed dwoma laty, zakładając w niej udział 34 państw europejskich oraz Kanady i Stanów Zjednoczonych.

Narada ministrów spraw zagranicznych trwała dwa dni. Poświęcona była wymianie informacji i poglądów o toku przygotowań do zwołania ogólnoeuropejskiej konferencji. Jej uczestnicy stwierdzili pewien postęp w zmniejszeniu napięcia na kontynencie europejskim oraz zainteresowanie propozycją krajów socjalistycznych. Uznali, że „w obecnych warunkach możliwe i konieczne jest praktyczne podejście do konkretnych problemów w celu przyśpieszenia zwołania konferencji".

Liczne dwustronne kontakty, jakie miały miejsce między zainteresowanymi krajami, stworzyły warunki do przejścia na płaszczyznę wielostronną i obecnie zadanie polega na tym, aby nie zwlekać z podjęciem tej nowej fazy przygotowań do konferencji. Ministrowie potwierdzili gotowość uczestniczenia w takich spotkaniach, w każdym czasie i upoważnienia do tego swoich przedstawicieli dyplomatycznych.

Ministrowie zwrócili uwagę na to, że obok pozytywnego nurtu — ma miejsce i odwrotny. Koła niezainteresowane rozładowaniem napięcia w Europie aktywizują się. Wysuwają one szereg warunków wstępnych, które mają skomplikować prace przygotowawcze. W tym też kierunku oraz do nasilenia wyścigu zbrojeń zmierzają decyzje wspomnianej sesji brukselskiej. Te i inne przeszkody powinny być pokonane. Państwa uczestniczące w naradzie w Bukareszcie są zdecydowane współdziałać w celu, jak najszybszego i pomyślnego zakończenia prac przygotowawczych. Wzywają do takich kroków rządy wszystkich zainteresowanych państw.

Komunikat o naradzie podejmuje jeszcze jedną ważną sprawę: podkreśla wielkie znaczenie i wagę dla europejskiego bezpieczeństwa ustanowienia równoprawnych stosunków z NRD oraz zaniechania sprzeciwu wobec propozycji przyjęcia tego państwa do Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Na drodze do zwołania europejskiej konferencji narada bukareszteńska spełnia ważną rolę — zachęca do intensywniejszego działania i przyśpieszenia przygotowań, wskazuje na potrzebę konsultacji wielostronnych, odrzuca warunki wstępne, od spełnienia których niektóre koła zachodnie chciałyby uzależnić swoją zgodę na datę i porządek konferencji.

Na listę oficjalnych przedstawicieli NRF, którzy złożyli wizyty w Polsce, trzeba wpisać Herberta Wehnera, przewodniczącego grupy parlamentarnej SPD w Bundestagu, współtwórcy polityki wschodniej rządu Brandta. Jego pobyt w Polsce dał okazję do licznych rozmów, w toku których podjęto szeroki wachlarz tematów. Wymieniono poglądy na temat przygotowań do europejskiej konferencji, przedyskutowano ogólną sytuację w Europie, podjęto niektóre problemy dwustronne, a w ich liczbie sprawę ratyfikacji układu i współpracy gospodarczej.

Po powrocie do Bonn Wehner podkreślił, że nowy rząd polski pragnie trzymać się litery zawartego w grudniu układu i że nic pod tym względem nie uległo zmianie. „Nie widzę — powiedział — żadnych szczególnych trudności z ratyfikacją układu warszawskiego". Rozmowy z polskimi ministrami i deputowanymi stanowiły wkład do dalszej normalizacji stosunków.

Jest rzeczą znamienną, iż Wehner uznał za celowe podkreślić także, jaką politykę prowadzi Bonn wobec NRD. Nie jest to w myśl jego słów — polityka okrążania, czy też omijania NRD. Wypowiedzi tej nie można traktować inaczej niż jako polemiki z tymi siłami w NRF, które chciałyby powrotu do polityki chadeckiej, zmierzającej do naruszenia więzi między krajami socjalistycznymi. A że siły te aktywizują się — mamy wiele dowodów.

Pozostańmy dziś już do końca przy tematyce europejskiej. Rzadko omawiamy na tym miejscu problematykę gospodarczo-społeczną. Tym razem jednak skłania nas do tego ogłoszony właśnie raport Rady Społeczno-Gospodarczej ONZ, poświęcony sytuacji w Europie zachodniej. Przynosi on wiele interesujących faktów. Oto niektóre z nich.

- W ośmiu najbogatszych krajach Europy zachodniej „górne 10 proc. ludności" zgarnia do 44 proc. wszystkich dochodów indywidualnych.
- Dolne 10 proc. ludności w W. Brytanii ma do dyspozycji niecałe 2 proc. ogólnych dochodów, w NRF — 2,1 proc., w Szwecji, uchodzącej za kraj sprawiedliwego podziału dochodu, 1,6 proc.
- Na tle tych liczb stwierdza się, że nierównomierność podziału dochodu narodowego wzrastała w ciągu ostatnich 10 lat „w miarę, jak bogaci stawali się jeszcze bardziej bogatymi, a biedni — ubożeli".
- Raport odnotowuje wzrost zjawiska ubóstwa, podkreślając, że np. w W. Brytanii w warunkach niedopuszczalnych żyje co piąte dziecko.
- Krytycznie naświetla się rozwój akcji socjalnej. Na pojęcie biedy składają się bowiem równolegle: brak odpowiednich środków wyżywienia, jakiejkolwiek opieki lekarskiej oraz dachu nad głową.

Raport, jak podkreślają jego autorzy, ma na celu wykazanie głębokiej krzywdy społecznej, jaka występuje w wielu rozwiniętych krajach Europy zachodniej.

W. SŁAWSKI

● Zewsząd o wszystkim ● Zewsząd o wszystkim ●

Papierosy a rak płuc

„FINANCIAL TIMES" — LONDYN

Jak wykazał ostatni sondaż opinii publicznej, spośród każdych pięciu palaczy papierosów, czterech uważa, że dym i smog są bardziej istotną przyczyną raka płuc, niż palenie tytoniu. Zaś dziewięciu na dziesięciu uważa, że ponieważ „wśród specjalistów zdania są podzielone" co do szkodliwości palenia, przeto niebezpieczne skutki tego nałogu są problematyczne...

„Obie te opinie palaczy papierosów są z gruntu fałszywe" — czytamy w raporcie „Palenie tytoniu a zdrowie", opublikowanym przez Brytyjski Królewski Instytut Medycyny. W raporcie przytacza się niezbite dowody, iż „przedwczesna utrata zdolności do pracy i śmierć spowodowane paleniem, przybrały rozmiary epidemii".

Wyniki przeszło trzydziestu doświadczeń naukowych, przeprowadzonych w różnym czasie i w różnych krajach, wykazują ponad wszelką wątpliwość, że wśród ludzi chorych na raka płuc jest znacznie więcej „nałogowych palaczy", niż osób nie palących w ogóle.

W toku innych ośmiu doświadczeń naukowych przeanalizowano przyczyny śmierci dosłownie milionów ludzi, znajdujących się w ciągu długich lat pod obserwacją lekarską. I te doświadczenia również wykazały, iż prawdopodobieństwo zachorowania na raka płuc zwiększa się wraz ze wzrostem ilości wypalonych papierosów.

Niemniej kilku specjalistów — raport przytacza jedenastu — neguje ścisłość tych danych. Pogląd ten znalazł tak wielu sympatyków (przede wszystkim wśród palaczy, oczywiście!), że autorzy raportu uważali za swój obowiązek poddać szczegółowej analizie krytyczne uwagi swych oponentów oraz udowodnić ich bezpodstawność.

A zatem po pierwsze: Od dawna i do znudzenia wysuwana teza, że jeszcze nigdy i nikomu nie udało się sztucznie wywołać u zwierząt raka płuc w warunkach laboratoryjnych, nie odpowiada prawdzie.

Chociaż jama nosowo-gardłowa zwierząt jest naturalnym i bardzo skutecznym filtrem dymu z papierosa, na jesieni ub. roku udało się uczonemu amerykańskiemu wywołać w krtani chomików, poddanych działaniu dymu z papierosów, typowe guzy rakowe.

Po drugie: rozpowszechnione mniemanie, iż głównym winowajcą raka płuc jest zanieczyszczenie powietrza — także poddano druzgocącej krytyce. Oto mężczyźni wdychają niewiele więcej zanieczyszczonego powietrza niż kobiety, a mimo to wiadomo, iż na raka płuc częściej zapadają właśnie mężczyźni — namiętni palacze papierosów.

Wyniki badań lekarskich świadczą, że rak płuc rozwija się wskutek wdychania wielu substancji chemicznych, ale najbardziej rozpowszechnioną spośród nich jest dym z papierosów. Po drugiej wojnie światowej szybko wzrosła śmiertelność spowodowana rakiem wszelkich odmian, z tym, że najwyższą śmiertelność w tej kategorii chorób powoduje wielki wzrost zachorowań na raka płuc. Jest to ściśle związane z gwałtownym zwiększeniem się liczby osób, palących papierosy, zarówno wśród mężczyzn jak kobiet i młodzieży. Jak powstają zmiany rakowe w płucach, do tej pory właściwie nie wiemy i nie powinno to dziwić, jeśli wziąć pod uwagę nader złożony skład chemiczny dymu papierosowego. Uczeni ustalili, iż „cocktail" ten zawiera około tysiąca składników.

Ale w dymie papierosowym są i takie związki, o których wiadomo na pewno, że wywołują raka płuc bezpośrednio lub pośrednio. Główną rolę wśród tych substancji rakotwórczych odgrywa wielocykliczny aromatyczny węglowodór, któremu towarzyszą takie substancje sprzyjające powstawaniu raka, jak fenole, etery wyższych kwasów tłuszczowych oraz lotne kwasy tłuszczowe.

W skład dymu tytoniowego wchodzą też dwa inne rodzaje substancji chemicznych, bardzo interesujących z medycznego punktu widzenia. Do pierwszych należą substancje o działaniu drażniącym, które również sprzyjają rozwojowi raka. Powodują one kaszel i zwiększone wydzielanie śliny. W organiźmie zwierząt, poddawanych działaniu dymu z papierosów, pojawiają się zmiany, przypominające chroniczny bronchit i rozedmę płuc u człowieka. Do drugiego rodzaju wspomnianych substancji chemicznych należy tlenek węgla. Przedostaje się on do krwi i, prawdopodobnie, wywołuje u palaczy papierosów choroby sercowo-naczyniowe.

Większość palaczy nie chce się uwolnić od tego nałogu i nie chce słyszeć o szkodliwości palenia, mając nadzieję, że nie grozi im nic specjalnie strasznego. Ci znów, którzy by chcieli rzucić palenie, zwłaszcza, kiedy palą nałogowo, nie mogą tego zrobić ze względu na przykre skutki: głód nikotyny, rozdrażnienie, bezsenność, depresja psychiczna i zaburzenia żołądkowe.

Wielu sądzi, iż po długich latach palenia papierosów rozstanie się z tym nałogiem nie ma już właściwie większego znaczenia dla zdrowia. Nic bardziej mylnego! Doświadczenia wykazały bowiem, że po pięciu latach niepalenia prawdopodobieństwo zachorowania na raka płuc maleje dwukrotnie.

Tyle co do palenia papierosów. A jakie ryzyko biorą na siebie palacze fajki lub cygar? Kto pali fajkę, czy tylko cygara, jest prawie tak samo narażony na raka płuc, jak niepalący. Mowa tu, oczywiście, o palaczach, którzy palą umiarkowanie i zaciągają się rzadko. Natomiast „nałogowcy", którzy palą bardzo dużo, do dziesięciu cygar lub dwudziestu fajek dziennie i zaciągają się, narażają się na takie samo ryzyko, jak umiarkowani palacze papierosów.

Sądzi się, że papierosy z filtrem zmniejszają ilość „smółki" oraz innych szkodliwych substancji, które trafiają do płuc palacza. „Ponieważ papierosy z filtrem pojawiły się stosunkowo niedawno — wskazuje się w raporcie — przeto wyciąganie jakichkolwiek kategorycznych wniosków w tym przedmiocie byłoby przedwczesne". Niemniej, w jednym z amerykańskich przeglądów naukowych z roku 1968, wysuwa się przypuszczenie, iż palacze używający na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat wyłącznie papierosów z filtrem, są o 40 procent mniej narażeni na raka płuc, niż ci, którzy palili papierosy bez filtrów.

Lekarze twierdzą jednak uparcie: „Nie można mieć żadnych iluzji, ani przymykać oczu na prawdę! Jedną z ważniejszych przyczyn raka płuc są nie „słabe płuca", lecz palenie tytoniu"...

Budżet wojskowy USA

„WASHINGTON POST" — WASZYNGTON

W nowym roku budżetowym, który rozpocznie się 1 lipca 1971 roku, rząd USA przewiduje wyasygnowanie na potrzeby Pentagonu około 78 miliardów dolarów (z uwzględnieniem pośrednich wydatków wojskowych Pentagon otrzyma przeszło 80 miliardów dolarów — red.).

Budżet wojskowy, opracowany przy współudziale administracji i resortu budżetowego, oznacza wzrost ogólnych wydatków na cele militarne oraz przewiduje znaczne zwiększenie sumy, którą przeznacza Pentagon na prace doświadczalno-konstrukcyjne w zakresie nowych rodzajów broni. Jak mówi się w kołach dobrze poinformowanych, przeznaczono na ten cel około 800 milionów dolarów.

Zakłada się również znaczne zwiększenie wydatków na prace badawcze, związane z opracowaniem nowego typu bombowca, oznaczonego symbolem „B-1". Samoloty „B-1" zastąpią, jak się przypuszcza starzejącą się flotę powietrzną bombowców „B-52". W zwiększonych wydatkach mieszcza się także prace badawcze nad nowym podwodnym systemem rakietowym dalekiego zasięgu amerykańskiej marynarki wojennej („ALMS"), który, być może, zastąpi w latach 80-tych flotę podwodną uzbrojoną w rakiety typu „Polaris" i „Posejdon".

Na program skonstruowania bombowca „B-1", na który już obecnie przeznaczono około 75 milionów dolarów, w nowym roku budżetowym wyasygnuje się dodatkowo około 350 milionów dolarów.

Przeznaczone obecnie na system „ALMS" — 44 miliony dolarów, zamierza się zwiększyć do przeszło 100 milionów dolarów.

Przypuszcza się, iż koszt budowy i eksploatacji nowej floty morskiej, składającej się z 15—25 łodzi podwodnych, uzbrojonych w rakiety „ALMS", wyniesie 10—15 miliardów dolarów w ciągu 8—10 lat. Mimo tak wielkich wydatków program ten ma mocne poparcie na wysokim szczeblu, zarówno w Białym Domu jak i w Pentagonie.

Kwestia konstrukcji nowego typu bombowca wywołuje zacięte spory. Jednakże, jak utrzymują koła dobrze poinformowane, zwolennicy nowego bombowca „B-1" odnieśli niedawno walne zwycięstwo w łonie rządu i, jak się zdaje, przyszłość tego samolotu jest zapewniona. Mocnym argumentem przeciwko budowie bombowca „B-1" są wielkie koszty produkcji.

Resort wojskowych sił powietrznych USA ustalił, iż kosztem około 12 miliardów dolarów można by opracować, zbudować i rozpocząć eksploatację floty powietrznej, składającej się z 240 bombowców „B-1". A koszt produkcji kolejnych prototypów tego samolotu wyniósłby w przybliżeniu 25—30 milionów za jeden model.

Zastępca min. obrony USA, jak również i inne osobistości urzędowe, przestudiowały projekt budowy tego bombowca i, jak już wiadomo, przedłożone wnioski „mają solidne poparcie".

Nowy budżet wojskowy Stanów Zjednoczonych przewiduje także wzrost wydatków na program produkcji broni konwencjonalnej oraz na program amerykańskiej „pomocy" wojskowej.

Nieproszony gość

„UPI" — NOWY JORK

Biały Dom zażądał od Kongresu 19 milionów dolarów na budowę, w marcu 1971 roku, centralnego ośrodka łączności wojskowej — lotniczej i morskiej — na wyspie Diego Garcija. Wyspa leży 1.600 km na południe od Indii i należy do Wielkiej Brytanii.

Będzie ona pierwszą amerykańską bazą wojskową na szlaku między Afryką i Dalekim Wschodem, jak również stacją przekaźnikową amerykańskiej bazy wojskowej w Etiopii.

Plan przekształcenia Diego Garcija w bazę wojskową USA zrodził się na długo przed pojawieniem się radzieckich okrętów wojennych na Morzu Śródziemnym i Oceanie Indyjskim. Gdy w roku 1966 Wielka Brytania gotowała się do przyznania niepodległości wyspie Mauritius (brytyjskie terytorium Oceanu Indyjskiego — red.), Waszyngton zwrócił się z prośbą, by pozostawiła ona dla siebie wyspę Diego Garcija oraz dwa inne atole koralowe w archipelagu Czagos. USA zamierzają wybudować na Diego Garcija nie tylko centrum łączności wojskowej, lecz także lotniska dla odrzutowców „F-111-A".

Stworzenie tej bazy będzie pierwszym krokiem do ponownej „obecności" amerykańskiej na Oceanie Indyjskim. Jak informują agencje prasowe, amerykańska 7 flota morska przemieszcza się już stopniowo do tego rejonu.

Decyzja Stanów Zjednoczonych o budowie bazy wojskowej na wyspie Diego Garcija wywołała oburzenie w Indii, która złożyła już energiczny protest w Londynie i w Waszyngtonie.

W następnym numerze **„ODGŁOSÓW"**:

★ **M. WOŹNIAKOWSKI** — Zielone światło dla oświaty

★ Rozmowy z kobietami łódzkimi

★ **M. GUMOLA** — Siłaczki i Judymowie na Ziemi Łódzkiej

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

Myśli o zaangażowaniu humanisty

Dalszy ciąg ze str. 1

kakolwiek inna — nie może pozostawać jedynie widzem dokonujących się społecznych przemian.

Dyrektywny styl rządzenia, wyrzekający się konsultacji już nie tylko z klasą robotniczą, ale i z innymi szerokimi grupami społecznymi, jaki był udziałem naszego życia w ostatnich latach, wprawdzie szermował bezustannie hasłem zaangażowania, ale nadawał mu specyficzny, swoisty sens. Łatwość identyfikacji wszelkich głosów krytycznych z... krytyką socjalizmu, określanie ich jako warcholskie krytykanctwo i malkontenckie czarnowidztwo oraz związane z tym praktyki administracyjne w warunkach narastania nowych konfliktów w istocie preferowały postawy społecznie pasywne. Słuszna i społecznie potrzebna walka z silnymi tendencjami do widzenia świata „na czarno", w zmieniających się warunkach niepostrzeżenie a konsekwentnie zaczęła się przekształcać w zamazujące obraz rzeczywistości, szkodliwe dążenie do malowania wszystkiego „na różowo" w imię eksponowania sukcesów i tylko sukcesów, jak gdyby w obawie, że będą one nie zauważone. Ta rozwijająca się w miarę narastania społecznych i ekonomicznych napięć tendencja lakiernicza poczęła przesłaniać oczywiste sukcesy i trudności budownictwa socjalizmu w naszym kraju.

Urzędowy optymizm wymagał od humanistów — jak i od wszystkich innych — specyficznego rodzaju zaangażowania: ich zadaniem było potwierdzenie oficjalnych enuncjacji, nie w pełni ujawnionym, lecz praktykowanym stało się hasło: chwalcie nas! Laudacyjny kształt zaangażowania, wówczas lansowany, sprowadzał rolę humanisty — pisarza, historyka, socjologa, ambitnego publicysty — do funkcji klakiera, bowiem jedynie klakier może bezkrytycznie chwalić wszystko na każdym etapie. Sytuacja taka preferowała ludzi, którzy gotowi byli zgodzić się zawsze na wszystko dla własnej kariery, bezideowców i najróżniejszych cwaniaków, dbających jedynie o to, aby zdążyć się należycie ustawić na odpowiednim etapie. Towarzyszyło temu rozgoryczenie ludzi, którzy niezależnie od tego, czy mieli po temu oficjalny mandat, czy nie, odczuwali głęboko niedomogi naszego życia i z niepokojem śledzili narastanie nowych konfliktów.

Mechanizm ten się wreszcie zaciął — mimo wszystkich zabiegów lakierniczych — konflikty uwidoczniły się z tragiczną siłą, a nowa sytuacja wymaga jak nigdy intensyfikacji wysiłków wszystkich sił narodu dla zaradzenia niedostatkom i przyspieszenia wszechstronnego rozwoju naszej Ojczyzny. Walka o jutro wymaga mobilizacji wszystkich sił społecznych, mobilizacji nie koniunkturalnej, deklaratywnej, lecz stałej, ideowej, bowiem socjalizm jest u nas sprawą wszystkich, jest naszym być albo nie być. O ileż więcej nas — Polaków — łączy niż dzieli! Jedynie wróg lub głupiec sądzą inaczej.

Słowa wróg użyłem nie przypadkiem — coraz wyraźniej widzimy, gdzie i jak działa, jakie propaguje treści, jak stara się „uczyć" nas tego co i jak winniśmy czynić, jak stara się nam odbierać wiarę w słuszność przemian, jakie się u nas dokonują. W każdej konfliktowej sytuacji społecznej występuje aktywizacja sił wrogich i jest zadaniem pierwszoplanowym ich identyfikacja oraz skuteczne przeciwdziałanie. Ale jednocześnie czas najwyższy, by wreszcie zrozumieć, że naród nasz wykazuje wysoki stopień dojrzałości społeczno-politycznej, a głosy sprzeciwu bądź niezadowolenia, jakie rodzą się w różnych środowiskach społecznych, wymagają wnikliwego rozpatrywania i w swej zdecydowanej większości są krytyką nie mającą nic wspólnego z podważaniem principiów naszych stosunków ustrojowo-politycznych. Bez wiary w wartości własnego narodu, w wartości klasy, która mu przewodzi, nie jest możliwe skuteczne prowadzenie walki o lepsze jutro.

Wielką i niezbywalną tradycją naszej humanistyki jest jej większe niż gdziekolwiek indziej zaangażowanie w sprawy kraju i narodu. Tak było w okresie zaborów, kiedy literatura, historiografia, myśl filozoficzna, sztuka, nie tylko pozwalały przetrwać w najtrudniejszych sytuacjach, ale walnie przyczyniały się do rozwoju polskiej świadomości narodowej, podtrzymywały wiarę we własne wartości i nadzieję na przyszłość. Było tak i później. Historia polskiego socjalizmu jest historią wspólnego, nierozłącznego wysiłku rewolucjonistów i humanistów, wspólnie walczących o nową perspektywę historyczną dla nas i innych. Jej dziejową konkretyzacją jest dzisiaj Polska Ludowa, która zrodziła się z wieloletniego historycznego procesu, nie wyskoczyła jak Atena z głowy Zeusa.

Rewaloryzacja celów, o której była mowa, niezbędna dla harmonijnego i skutecznego rozwoju socjalizmu w naszym kraju, intensyfikacja społecznego wysiłku nie mogą się i tym razem obyć bez udziału — i to istotnego — polskiej humanistyki, w najszerszym znaczeniu tego słowa. Jej zaangażowanie jeżeli ma być rzeczywiście płodne, musi być zaangażowaniem krytycznym, wyczulonym na wszystko co ważne w naszym życiu, dobre i złe, pozbawionym lakiernictwa, klakierstwa i tendencyjnego malkontenctwa. Tylko wtedy będzie ona istotnie mogła współdziałać w tworzeniu nowego. Aktywizacja humanistyki jest koniecznością czasu, może się ona dokonać jedynie w atmosferze wzajemnego zaufania, nie tylko tego „z dołu do góry" ale i „z góry na dół". Literat, socjolog, historyk, publicysta winien sięgać po najważniejsze i najbardziej nawet kontrowersyjne problemy nie oglądając się na rozliczne koniunkturalne „tabu", dyskusja zaś jaką sprowokuje, więcej pomoże niż zaszkodzi. Przywracanie leninowskich norm życia politycznego oznacza zaangażowanie humanistyki w najważniejsze problemy naszych czasów.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Fot. A. Wach

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NOWY STYL NOWA ATMOSFERA

Na VIII Plenum KC PZPR czekaliśmy wszyscy, ale czekaliśmy w różny sposób. Jedni z niezdrową żądzą sensacji, aby dowiedzieć się kogo zdjęli, przesunęli, zamienili. Inni — z niepokojem i z nadzieją, bo niespokojni są o dalsze losy partii, wspólnego dorobku, o naszą przyszłość. Jeszcze inni w rozterce i niepokoju, w rozdarciu i zwątpieniu, bo nagle zabrakło im zaleceń, drogowskazów, wytycznych i uchwał, które przecież porządkowały ich świat, nie tylko wskazywały im kierunki działania, ale ich zakres i cel, narzucały metody. Wystarczyło im żyć od plenum do plenum, aby mieć spokojne sumienie i zadowolenie ze spełnionego obowiązku.

Na kilka dni przed rozpoczęciem obrad VIII Plenum KC PZPR rozmawiałem z sekretarzem jednej z fabrycznych organizacji partyjnych w Łodzi.

— Jeszcze tylko kilka dni — powiedział — i przyjdą uchwały, zalecenia, zjednoczenia też coś nadeślą i będzie człowiekowi łatwiej pracować.

Powiedziałem mu, że, moim zdaniem, rozczaruje się, gdyż nie należy spodziewać się uchwał w dawnym stylu, które „zadawały lekcje do wykonania", polecały temu i tamtemu zrobić „od do". W czasach, kiedy partia zmienia styl i metody działania, trzeba zacząć myśleć samodzielnie. Do tej pory starano się odzwyczaić wielu od tego i w niektórych przypadkach udało się to nader dobrze. Sam powiedziałem w tej rozmowie „styl", choć przecie nie o styl tu chodzi, nie o „nowe" formy, metody i kierunki. Trzeba sobie uświadomić, że partia nie dokonuje żadnego zwrotu, choć niektórzy zaczęli już mówić o „zakręcie" i szukać analogii w zasadach ruchu drogowego.

Partia przywraca rzeczy „stare", powraca do leninowskich norm, stara się stworzyć warunki dla ich działania. Nie jest to nic nowego, a wręcz przeciwnie pojęcia i zasady aż nadto „stare" tylko, że ta ich „starość" coraz to z trudem toruje drogę do współczesności. W rozmiarach dziejów ludzkości historia ruchu robotniczego jest krótka, w czasie której z uporem walczono o właściwą interpretację norm leninowskich. Proces powrotu do leninowskich norm nie odbywa się jednak samoczynnie, nie odbywa się bez walki z rutyną, dogmatyzmem, bezmyślnością, umysłowym lenistwem, wygodnictwem i egoizmem, kiedy sprawy narodu, społeczeństwa i partii przesłania groźba utraty pozycji, kariery czy — jak to ludzie mówią po prostu — stołka. W tej walce nie można też lekceważyć groźby rewizjonizmu.

„Partia to nie jest wielki gmach z telefonami. Partia to my z tobą, towarzyszu. Ona żyje w nas i myśli w naszej głowie" — pisał Bertold Brecht, a słowa jego przypomniała niedawno „Trybuna Ludu". I w nas dokonuje się walka nowego ze starym. W nas, w naszych myślach i żarliwych dy-

Dalszy ciąg na str. 4

Nowy konkurs • Nowy konkurs • Nowy konkurs • Nowy konkurs

WIELCY ŁODZIANIE

Drodzy Czytelnicy! Prezentujemy Wam serię sylwetek postaci historycznych, związanych z Łodzią. Zadaniem Waszym będzie rozszyfrowanie tych postaci. Zasady są takie same jak w konkursie „Czy znasz architekturę Łodzi" — w losowaniu nagród wezmą udział zarówno odpowiedzi tylko na jedno z zadań konkursowych jak i na wszystkie prezentowane w ciągu najbliższych tygodni. Oczywiście systematyczny udział w naszym konkursie zapewnia uczestnikom większe szanse w losowaniu. Odpowiedzi — wyłącznie na kartach pocztowych — należy nadsyłać na adres: „Odgłosy", Łódź, Piotrkowska 96 — „Wielcy łodzianie".

Wśród uczestników konkursu rozlosowane będą trzy główne nagrody w postaci bonów towarowych.

I nagroda — 2.000 złotych
II nagroda — 1.500 złotych
III nagroda — 1.000 złotych

oraz pięć wyróżnień w postaci cennych wydawnictw albumowych.

ZADANIE KONKURSOWE nr 9

Ten działacz i pisarz polityczny zasługuje z pewnością na miano Wielkiego Łodzianina, choć urodził się w Pile. Pochodził z rodziny mieszczańskiej, kształcił się w seminarium duchownym w Poznaniu, potem w College de France. W roku 1824 został ministrem Stanu w Królestwie Polskim, a w rok później odwiedził miasto Łódź, które jemu to w głównej mierze zawdzięcza swój rozwój przemysłowy w XIX wieku.

Obok Rajmunda Rembielińskiego i Ksawerego Druckiego-Lubeckiego, należał do grona organizatorów Łodzi przemysłowej. Zanim został ministrem Stanu był dyrektorem Wydziału Przemysłu i Kunsztów w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Na tym stanowisku wybitnie przyczynił się do planowania rozwoju przemysłu, dostarczał podstaw teoretycznych i statystycznych, inspirował, zachęcał do działania.

NOWY STYL NOWA ATMOSFERA

Dalszy ciąg ze str. 3

skusjach degraduje się liczne utarte latami pojęcia, nawyki, schematy, przeciw którym buntowaliśmy się, uznając ich błędność i szkodliwość, ale bunt nasz tłumiliśmy w myśl jedności, w uznaniu wyższych racji. Aż klasa robotnicza przypomniała nam wszystkim, że jej przodująca rola nie jest hasłem a rzeczywistością.

Zaroiło się nagle od „odważnych". Swoista to jednak odwaga, bo każe odważnie dostrzegać tylko błędy i wypaczenia u drugich. Łatwa to odwaga, bo krytykującemu w ten sposób zapewnia maksimum bezpieczeństwa. Tylko, że nie ma ona nic wspólnego z nurtującą nas wszystkich troską o to, aby znów nie powróciły warunki, w których mogłyby karłowacieć i zanikać leninowskie zasady życia partyjnego, politycznego, społecznego i gospodarczego. Wszyscy pytają o gwarancje, a one są przecież w nas samych. Uchwały VIII Plenum KC PZPR, tak zresztą jak i uchwały VII Plenum KC PZPR, mogą tylko przyczynić się do stworzenia kierunków działania, warunków, sprzyjających odradzaniu się tych zasad, ale za nas nic nie zdziałają. Nie mają mocy działania samoczynnego. Normami leninowskimi musi kierować się każda organizacja partyjna, każda instytucja, musi pilnie wsłuchiwać się w głos ludzi, brać pod uwagę ich krytykę i postulaty, nauczyć się kontrolować sprawny przebieg wykonywania własnych uwag, nauczyć się odwagi we własnych sprawach. I to jest odwaga najprawdziwsza, odwaga nam wszystkim niezbędna.

Podstawą życia politycznego i społecznego w kraju ma być centralizm demokratyczny. Ktoś trafnie zauważył, że u nas więcej było centralizmu niż demokracji. Tylko „u nas", to znaczy, gdzie? W Komitecie Centralnym partii, w instancji wojewódzkiej, powiatowej, dzielnicowej, fabrycznej, ministerstwie, zjednoczeniu czy też może w macierzystej POP? Przywracanie właściwych proporcji między centralizmem a demokracją nie może jednak ominąć ani grupy partyjnej, ani organizacji partyjnej, ani powiatowej, dzielnicowej czy wojewódzkiej. Prawda to oczywista i byłbym może jej nie przypominał gdyby nie fakt, że przez te lata odchodzenia od demokracji na rzecz centralizmu nauczyliśmy się wszyscy podbijania odpowiedzialności w górę. Skoro „Z GÓRY" przychodziły dyrektywy, a „GÓRĄ" była każda jednostka zwierzchnia, to na niej spoczywała za te dyrektywy odpowiedzialność. Dziś — w myśl tej praktyki — też bardzo łatwo powiedzieć: „ONI SĄ WINNI, U NAS NIC NIE TRZEBA ZMIENIAĆ"!

„Partia klasy robotniczej — stwierdza uchwała V Zjazdu PZPR — tylko wówczas może wypełniać swą misję dziejową w walce o socjalizm i komunizm, jeśli kieruje się w swojej działalności zasadami centralizmu demokratycznego i nie pozwala ich naruszać". Tak było w teorii, inaczej — w praktyce. W teorii centralizm demokratyczny gwarantował podejmowanie uchwał większością głosów, co zakłada, że każdy miał prawo do krytycznego ustosunkowania się do spraw omawianych, ale musiał się podporządkować woli większości.

Znamy owe dyskusje, które były okazją do sprawozdań i deklaracji. Ich odwagę i rzeczywistość mierzyliśmy w porównaniu do przeszłości, a nie do wagi i znaczenia poruszanych spraw. Spotkałem się niedawno z oceną partyjnych dyskusji, która stwierdziła, że „była ona bardziej wszechstronna i rzeczowa, a także śmiała i bezpośrednia — w znacznie większym stopniu i szerszym zakresie niż w latach ubiegłych". W tej samej ocenie mówiło się jednak, że organizacje partyjne nie kontrolowały wykonania uchwał własnych i instytucji nadrzędnych, nie oceniały krytycznie pracy własnych egzekutyw. Do paradoksów życia partyjnego można zaliczyć fakt, kiedy organizacje partyjne rad narodowych w Łodzi nie interesowały się uchwałami KŁ PZPR i Egzekutywy KŁ, dotyczącymi pracy rad narodowych, gospodarki komunalnej i innych żywotnych spraw miasta. Uznawano, że adresowane one są do organów administracji i POP nie ma możliwości ich kontrolowania.

Dziś, charakteryzując nowy styl mówi się o pożyteczności konsultacji, jakich udziela klasa robotnicza, a przecież nie jest to nic nowego. W niedalekiej przeszłości wielokrotnie, ale mechanicznie odwoływano się do opinii klasy robotniczej czy innych grup społeczeństwa. Tak było z planami alternatywnymi, szukaniem rezerw i przy innych okazjach, tylko, że sensem tych odwołań było oczekiwanie opinii pożądanych. Robotnicy, technicy i inżynierowie mieli powiedzieć, jak najlepiej wykonują dyrektywy a nie — czy ich zdaniem dyrektywy te liczą się z rzeczywistością, czy służą klasie robotniczej. Zresztą i z tymi opiniami zbytnio się nie liczono.

Było i tak, że prywatnie dyrektor wielkiej fabryki mówił krytycznie o metodach zarządzania przemysłem, a następnego dnia, z trybuny plenarnego posiedzenia łódzkiej instancji partyjnej piał hymny pochwalne nad ich mądrością. I takich dyrektorów, sekretarzy, przewodniczących rad zakładowych i robotniczych było więcej. Więc jednak nie tylko „ONI" są winni, ale i u nas trzeba wiele zmienić. Zasady centralizmu demokratycznego muszą być dla wszystkich, i wszystkich obowiązywać.

Spełnianie zasady centralizmu demokratycznego to także przestrzeganie kolegialności przy podejmowaniu decyzji, uważne wysłuchiwanie krytyki, postulatów i wniosków oraz wnikliwe ich analizowanie i spełnianie w miarę możliwości i potrzeby, to pełne i szybkie informowanie partii i całego społeczeństwa o życiu politycznym, gospodarczym i społecznym, to swobodne i rzeczowe omawianie polityki partii z jednoczesnym egzekwowaniem dyscypliny partyjnej i społecznej, to wreszcie uznanie, że partia jest mądra świadomością klasy robotniczej, świadomością innych warstw społecznych, a ta klasa jak i całe społeczeństwo nie odpowiada już dziewiętnastowiecznym wyobrażeniom, nie odpowiada już wzorcom z pierwszej połowy XX wieku. Tylko, że te prawdy muszą być uznane na każdym szczeblu partyjnej działalności, bo właśnie tu wprowadza się w życie i tu musi obowiązywać centralizm demokratyczny.

Co to oznacza w praktyce?

Problemów jest mnóstwo. Dla organizacji partyjnych oznacza to odejście od zastępowania administracji, które nie będzie ani łatwe, ani proste a jest konieczne. Dla samorządu robotniczego — rzeczywisty głos w sprawach fabryki, walka z biurokracją, marnotrawstwem i bezmyślnością, troska o poprawę organizacji pracy, o wyniki, a często umiejętność dyskutowania ze zjednoczeniami. Dla związków zawodowych — rzeczywista troska o warunki pracy i życia robotników. Dla wszystkich — troska o rzetelną pracę, o należyte wypełnianie obowiązków, odwaga w demaskowaniu ideowego i politycznego przeciwnika, wygodnictwa, dogmatyzmu, i egoizmu. Spraw i problemów multum, a najważniejsze zrozumieć, że nikt ich za nas nie załatwi i dlatego myślę, że mniej nam trzeba odwagi w pokazywaniu niedomagań u innych, a więcej odwagi w twórczej krytyce własnych.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

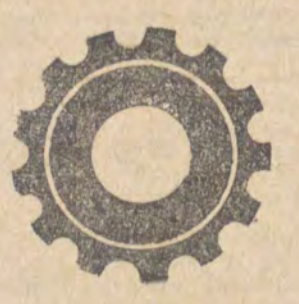

ANDRZEJ GRUN

WYCIECZKA W ZIMOWY PEJZAŻ

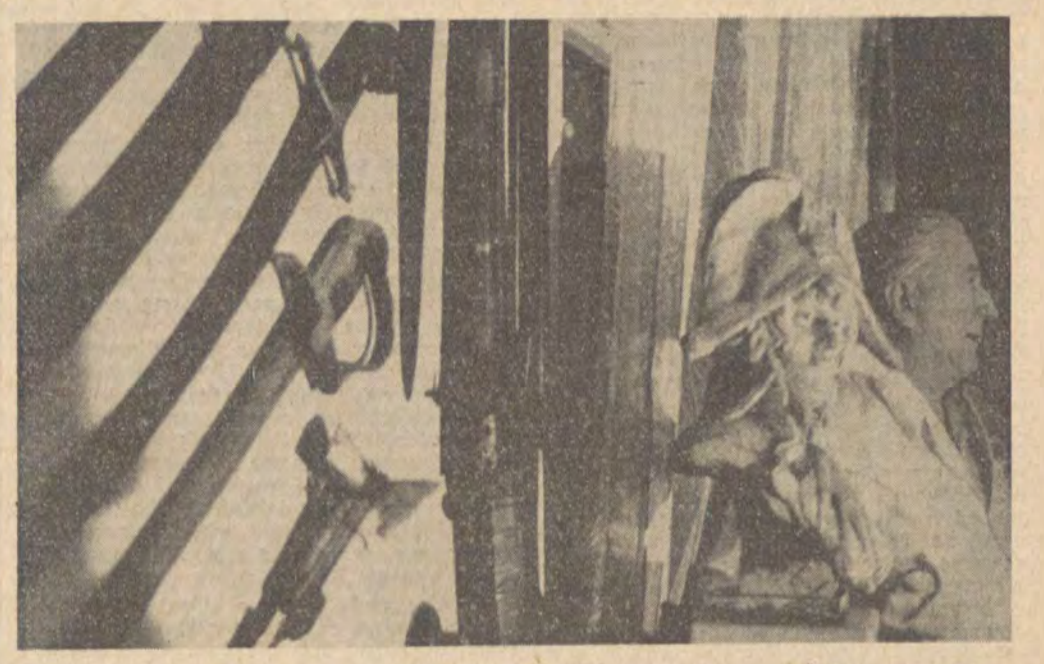

Fot. W. Parys

Szosa na Łęczycę, Kutno, Oporów — śnieg odmienił znane krajobrazy. Śnieg odrealnia kształty, unosi je łatwo ze współczesności w granice naszej wyobraźni, odbiera przedmiotom ich jednoznaczność. Śnieżny pejzaż nastraja do kontemplacji.

Przed Żychlinem skręcamy w lewo. Rozległy, stary, zasłuchany w sobie park kryje mury klasztoru, a dalej, za kutą bramą w wysokim kamiennym murze gotyckie cacko w bieli — oporowski zameczek.

Wracamy przez Kutno do Krośniewic. Czeka nas jeszcze najważniejsza wizyta, zasadniczy cel reporterskiej podróży. W Krośniewicach rynek niewielki, na środku, pompa z napisem głoszącym wszem i wobec, iż woda zdatna do picia po przegotowaniu; kościół, malutkie przy nim domki, przycupnięte w koło i na rogu apteka z kutym wężem Eskulapa nad wejściem. Kierownik apteki, pan Dunin — Borkowski, jako że pora urzędowania dobiegła właśnie końca, zaprasza do siebie...

Mieszkanie pana Dunin — Borkowskiego przypomina antykwariat, lombard, skład przedmiotów mających pójść na licytację, wszystko, tylko nie prawdziwe mieszkanie. Bo czy prawdziwe może być mieszkanie, w którym jedynie sufit jest pusty i chyba tylko dlatego, że jest zbyt wysoko? Ściany, podłoga, sprzęty wszystkie pełne są przedmiotów. Obrazy, rzeźby, zegary, broń, książki, medale i ordery, porcelana i ceramika, szkło i mundury, liczne pamiątki z czasów Księstwa Warszawskiego, zdjęcia, albumy, czaka, pikielhauby, hełmy.. dość, zabrakło tchu. Wyliczanie skarbów prywatnego muzeum pana Dunin — Borkowskiego zajęłoby cały numer naszego pisma, a nie jestem pewien, czy nie trzeba by dodatku specjalnego. Prywatne muzeum dorobek całego kolekcjonerskiego życia, uszczuplony stratami poniesionymi w czasie wojny, a i tak jeszcze ogromny. Bo jeszcze w Warszawie, w Łazienkach, pan Dunin w trzech salach co najcenniejsze przedmioty trzyma. Ale o życiu, koligacjach i zbiorach Dunin — Borkowskiego, farmaceuty z Krośniewic pisano już nieraz — ja nie o tym chciałbym. Pozwólmy toczyć się zdarzeniom i niech swobodnie płyną myśli, bo taki jakiś jest ten cały zimowy dzień.

Chodzę więc wśród stosów najrozmaitszych przedmiotów, na palcach, ostrożnie, żeby czegoś nie potrącić, nie zrzucić. Włodek Parys zdjęcia strzela, a ja chodzę i oglądam, oglądam. Na kanapie (antyk) leży podróżny ołtarzyk rycerski, na metalu obustronnie malowany, przypomina trochę nastrojem portrety sarmackie. Na stoliku rzeźba wschodnia, japońska chyba. Obok japońskie bransolety z motywem węża. Stos książek — okazuje się oprawnymi w skórę protokołami Sejmu Czteroletniego. W gablocie moc odznaczeń, a wśród nich łatka z portek Piłsudskiego. Oto lichtarz ze znakami masońskimi. A gospodarz do stołu (antyk) zaprasza, na krzesłach (antyki) sadza, nalewka (domowej roboty) z porzeczek częstuje. Nalewka wyśmienita, a gospodarz jest gawędziarzem pierwszej wody. Nagle gaśnie światło w całym miasteczku i trzeba zapalić świece. Więc lichtarze z masońskimi znakami na stół Zarysy przedmiotów wokół, bardziej się je czuje niż widzi. Koniec oglądania...

Kiedy tak siedzieliśmy oświetleni żółtawym, migotliwym światłem świec, słuchając opowiadań gospodarza, niespodziewanie, pozornie bez powodu przypomniał mi się inny kolekcjoner. Fryderyk Sauser-Hall, który do literatury wszedł jako Blais Cendrars. O, tak tak — wiem! To zupełnie inna historia. A jednak.. Kolekcjonował przecież z taką zachłannością krajobrazy, ludzi, zdarzenia, efemerydy geniuszu wydobyte z literackiej szarlatanerii i perły najczystszej poezji znalezione w marudnych traktatach filozoficzno-moralizatorskich. Całym jego dobrem rzeczywistym, do którego był prawdziwie przywiązany, była skórzana walizka, wypchana stronicami wyrwanymi z różnych książek (co za wspaniała biblioteka!), samochód, którego karoserię projektował sam Braque, maszyna do pisania marki „Remington" i drewniana ręka — pamiątka po pierwszej wojnie. Można powiedzieć, że niewiele. Kolekcjonował — a zebrał tak wiele, wszystko w sobie. Potrafił obywać się bez rekwizytów.

Siedzący przede mną siwowłosy, pełen życia pan, opowiadający zabawne rzeczy o poszukiwaniu grobu kochanki Małego Cesarza, kolekcjonuje przedmioty. Dzieła sztuki, pamiątki hi-

Dalszy ciąg na str. 9

Kto miłuje księgi?

str. 4

ANDRZEJ GAWROŃSKI

PISAŁ PRZED WIEKAMI BIERNAT z LUBLINA. „KTO MIŁUJE KSIĘGI, NIE MIEWA TĘSKNOŚCI". WRACA DO MNIE TEN DWUWIERSZ CZĘSTO, NIE TYLKO PRZY WIELKICH OKAZJACH, KIEDY PRZYWOŁUJE SIĘ TE SŁOWA, BY PIĘKNIE OPIEWAĆ ROLĘ KSIĄŻKI, W ŻYCIU CZŁOWIEKA.

Jeżeli będziemy sumować osiągnięcia ostatniego ćwierćwiecza, naturalną koleją rzeczy chlubić się będziemy tym, że na terenie województwa łódzkiego aż siedem powiatowych i miejskich bibliotek otrzymało kosztem milionów złotych nowe, piękne lokale, że w kilku innych przeprowadzono remonty, adaptacje, stwarzające odpowiednie warunki do gromadzenia i udostępniania księgozbiorów. Ponad 200 z 470 bibliotek gromadzkich ma obecnie już czytelnię. Tym bardziej rażą i niepokoją fakty, gdy spotykamy się z sytuacją odwrotną. Zanim szukać będziemy przyczyn takiego stanu, spróbujmy przytoczyć kilka przykładów. Kolejność nie oznacza tu gradacji ważności. Zło, jakie czyni się na przykład zamknięciem biblioteki w mieście jest tylko ilościowo, jeżeli tak rzec można, większe, ponieważ większemu środowisku czynione, od zła, jakie wyrządza nieczynna biblioteka na wsi, liczącej zaledwie kilkuset mieszkańców.

Oto Łask — powiatowe miasto liczące prawie 8 tys. mieszkańców. Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna, jedyna tutaj dostępna, mieści się od lat w miejscowym Domu Kultury. Od lat zajmuje dwa pokoje. W jednym pracownicy, w drugim — wypożyczalnia. Książki, układane już w stosy, zajmują każdy kąt. Kiedy w wypożyczalni jest pięć osób, jest już tłoczno. Brak czytelni, brak pomieszczeń dla biblioteki dziecięcej, brak możliwości prowadzenia szerszej działalności kulturalno-oświatowej, stosowania innych form pracy. Ale przecież biblioteka była, książkę można było wypożyczyć, a w końcu to jest najważniejsze... Zdecydowano wszakże: dom kultury trzeba remontować. Następuje eksmisja wszystkich i wszystkiego. Okazuje się, że nikt wcześniej nie zatroszczył się o to, by słowa — eksmisja biblioteki — nie znaczyły w tym wypadku tego samego co likwidacja. Pracowników można przenieść byle gdzie, posadzić choćby pięciu przy jednym stoliku i wywiesić karteczkę z napisem „PiMBP w Łasku". Ale biblioteka to książki. Jedyne rozwiązanie, jakie znaleziono, to spakowanie kilkunastu tysięcy woluminów i zmagazynowanie ich w piwnicy, jako że tej remontować się nie będzie. W ten oto prosty sposób biblioteka przestała istnieć. Remont zaplanowano na dwa lata. Jak twierdzą zorientowani w operatywności miejscowego przedsiębiorstwa budowlanego, remont z pewnością będzie trwał dłużej. Zresztą dwa lata wystarczą, wystarczą nawet już te miesiące, od kiedy taki stan trwa. Rozmawiam z czytelnikami. Są źli, pytają jak to możliwe. To samo pytanie i ja zadaję. Czy to możliwe, że w tym mieście, odznaczanym i nagradzanym nie tak dawno w konkursie gospodarności, nie można znaleźć kąta w żadnej instytucji, spółdzielni czy wreszcie domu prywatnym na udostępnienie choćby części księgozbioru? A jeszcze przed rokiem tamtejsi bibliotekarze nieskromnie marzyli o większym lokalu niż te dwa pokoiki. Nie dla siebie, dla b i b l i o t e k i. Teraz marzą, by móc być gdziekolwiek.

W swych marzeniach nie są odosobnieni. Sekundują im w tym koledzy z niezbyt odległych od Łasku Poddębic. Powiatowa i miejska biblioteka jest nieczynna od dwu lat. Tu z kolei stało się to za sprawą samego wojewódzkiego inspektora bhp. Konieczność jego interwencji i decyzja jaką wydał, zwalnia mnie od dokładniejszego opisu warunków, w jakich działała biblioteka. Jak twierdzi się, sytuacja ta nie ma żadnych szans na poprawę. Jedyne rozwiązanie to budowa nowego lokalu. Perspektywa dość daleka, bo, być może, dopiero w roku 1973. W tym nie posiadającym przemysłu, rozbudowującym się bardzo powoli miasteczku, można doszukać się tzw. przyczyn obiektywnych tego stanu rzeczy, choć one nie powinny go usprawiedliwiać. Gorzej jednak, gdy gdzie indziej brak przesłanek ku temu.

KAROL BADZIAK

Dzień sądu

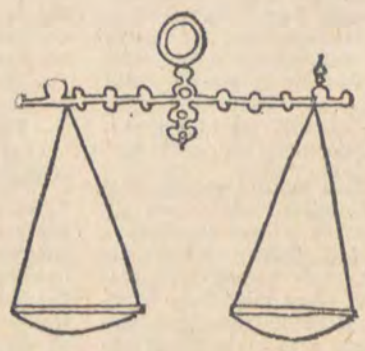

Na korytarzu Sądu Powiatowego w Sieradzu tłum jak na dworcu kolejowym. Widać nawet paru konduktorów w wytartych mundurach. Reszta publiki ubrana natomiast odświętnie w odzież konfekcjonowaną made dla GS. Wśród gapiów, którzy przybyli oglądać codzienne misterium wymiaru sprawiedliwości, sporo młodzieży. Ci przyjechali aż z Karsznic, dzisiaj sądzą ich rówieśników, krewnych i przyjaciół. Młodzież jest podekscytowana, pewna siebie, zadziorna, no i całym sercem solidarna z krajanami, co to tak głupio wpadli przez jakiegoś tam... Napatoczył się i dostał po nosie, wielka rzecz.

Czy to jakaś nadzwyczajna sprawa, jakiś nadzwyczajny dzień? Nie, po prostu jeden dzień z wielu w pracy sądu. Jedna z wielu spraw. Na wokandzie jak zwykle, kradzież, chuligaństwo, rozwody, sprawy majątkowe. Jak to w młynie sprawiedliwości. W sądzie, jak w soczewce, skupiają się ludzkie dramaty i ogólnoludzkie dylematy. Przyciągają one dziennikarzy, to zrozumiałe, ale co robią tutaj rzesze gapiów, po co przychodzą, czego się spodziewają? Istnieje chyba jakaś specjalna kategoria kibiców sądowych. Karmią się oni z lubością cudzym nieszczęściem. Wątpliwa to rozrywka. Obcy są oni oskarżonym, oskarżeni im są obojętni.

Chuliganów z Karsznic sądzi sam prezes w asyście ławników. Na ławie oskarżonych siedzi trzech neurastenicznych 19-latków, czwarty odpowiada z wolnej stopy, więc jego miejsce po przeciwnej stronie. Fotel prokuratora w cieniu fikusa. Pierwszy raz spotykam na sali sądowej kwiaty. Na młodzieńczych twarzach widoczne pomieszanie lęku z dumą. Źródło lęku dość oczywiste: pobili bez żadnej przyczyny spokojnego przechodnia. Jak to chuligani, napadli w czterech na jednego, żeby sobie nie pomyślał, że życie jest zbyt piękne. Jeśli chodzi o powód do dumy, to go nie widzę. Człowiek widocznie się starzeje i przestaje rozumieć młodzież. W dużo lepszej sytuacji jest obrońca jednego z oskarżonych, młode dziewczę w adwokackiej todze. Wskazuje, że przecież jej klient oprócz chuligaństwa uprawiał również sport żeglarski, co wysoki sąd powinien wziąć pod uwagę. Ale ponieważ rozprawa sądowa to nie regaty, więc wstał drugi adwokat, i chwytając myśl w locie zręcznie zaserwował: „Co prawda mój klient nie uprawia żeglarstwa, ale za to jest niewinny".

Osobiście bardzo lubię adwokatów, ich rola w procesie jest wyjątkowo wdzięczna. Pamiętam, jak przed paru laty byłem w Skierniewicach na rozprawie znachora — cudotwórcy. Akt oskarżenia zarzucał mu brak wykształcenia medycznego i odpowiednich kwalifikacji. Wtedy wstał jego obrońca i oświadczył, że Jezus Chrystus też nie kończył akademii medycznej, a przecież uzdrawiał ludzi.

A wracając do sprawy, przewód sądowy w pełni wykazał, że młodzieńcy pobili niewinnego osobnika z nudów, po prostu z nudów, Wysoki Sądzie, złamali mu nos. Karsznice, mała osada kolejarska, żadnych rozrywek, zupełnie jak na stacji Chandra Unyńska, tylko w mordę bić. Czysta poezja.

Dziarscy młodzieńcy z Karsznic otrzymali po roku więzienia, czyli po pełnym kalendarzu. Rok nie prorok, dwa lata jak dla brata. Zamiast do armii, pójdą do mamra. Ledwo się wychylili z mlecznej mgły dzieciństwa na próg dorosłego życia, a już narozrabiali. Jakie to beznadziejnie głupie. Czasem żałuję, że nie ma u nas kary chłosty.

Na drugiej sali, tego samego dnia, sprawa precedensowa chyba w światowym sądownictwie: zatrucie noworodka alkoholem. Badanie wykazało aż trzy promile tej popularnej cieczy w jego krwi. Dawka śmiertelna dla dorosłego. Do taty przyszli koledzy, przynieśli z sobą pół litra, albo i więcej i zaczęła się libacja, niemowlę wrzeszczało, dali mu prawdopodobnie kielicha i ucichło. Normalka. Piją starcy i embriony, dlaczego niemowlęta pozbawiać tej rozkoszy?

A swoją drogą myśli moje coraz bardziej zaczynają krążyć wokół kary chłosty, co mnie, oczywiście, cofa mentalnie do mroków średniowiecza. Ale jaką karę współrzędną znaleźć dla dwudziestoletniego młodzieńca, który w tym samym sadzie odpowiadał za zgwałcenie w lesie siedemdziesięcioletniego staruszka. Tacy przestępcy, jak ten zamieniają w cyrk poważną skądinąd instytucję państwową, jaką jest niewątpliwie sąd. Inny z kolei drab odpowiadał dzisiaj za kradzież krowy. Wydawać by się mogło, że ta sprawa jest już trochę normalniejsza. Ale zapomniałem dodać, że tę krowę ukradł własnej matce.

Jak z tego wynika, praca w Sądzie Powiatowym w Sieradzu nie jest nudna. Wzrasta, niestety, ilość spraw, szczególnie o przestępstwa drogowe i kradzieże mienia. Notuje się natomiast zupełny zanik spraw o manka. To cieszy. Dużo też jest sporów cywilnych, przeważnie majątkowych, spadkowych. Wiąże się to ze wzrostem wartości ziemi. Był bowiem taki czas na polskiej wsi, kiedy ziemią handlowano bez wiedzy władz administracyjnych. Teraz są skutki.

Typową ilustracją niech będą perypetie niejakiego Józefa N. spod Zduńskiej Woli. Zakupił on przed siedemnastu laty kawałek gruntu od swego sąsiada, za 5 tysięcy złotych i pobudował na nim dom. Tymczasem sąsiad zmarł, a że transakcji nie załatwiono notarialnie, zjawili się spadkobiercy. Zjawiło się ich do tego maleńkiego kawałka kuli ziemskiej bodajże aż dwudziestu ośmiu, rozsianych po całym kraju i świecie. W końcu, po kilkunastu latach, udało się tę liczbę nieco zredukować. Ostatniemu z nich N. wydatnie (czytaj finansowo) w tym pomagał. Ale kiedy ów jedyny, ostatni spadkobierca poczuł się już na dobre właścicielem, absolutnie o tym zapomniał. Chłop oblicza teraz, że wszelkie wydatki urzędowe, związane z tą sprawą, już dawno przekroczyły wartość owej ziemi, która mówiąc nawiasem, nadal nie jest jego własnością w sensie prawnym, choć jemu się wydaje inaczej. Niepoprawny optymista do tej pory zwiedza wszelkie dyrektorskie przedpokoje wielkich urzędów, a sprawa ciągle stoi w miejscu. Postęp czyni tylko jego rozgoryczenie, które osiągnęło już granice czarnej rozpaczy, gdyż komornik niedawno zapowiedział swą wizytę.

Trzeba wiedzieć, że budynek wymiaru sprawiedliwości ma charakter kombinatu. W jednym gmachu mieści się równocześnie prokuratura, sąd i komornik. Czasem rozprawy odbywają się też w bibliotece i w archiwum sądowym. Komornikiem jest pan Ignacy Jakowicki, człowiek znany w promieniu kilkudziesięciu kilometrów wszystkim pechowcom. Precyzyjny w wykonywaniu swych powinności jak szwajcarski zegarek, a jednocześnie wielkoduszny i wyrozumiały. Rzecz polega na tym, że nie tylko jego ludzie znają, ale i on ludzi zna. Urzęduje na tym terenie ponad dwadzieścia lat. Mówi o sobie z dumą, że sam jeden utrzymuje 1500

dzieci. Skrupulatnie ściąga od ojców alimenty. Ta duża liczba jest miarą rozwiedzionych małżeństw. Z jakichże to powodów ludzie się rozwodzą! Ostatnio pewien małżonek złożył pozew do sądu, gdyż żona jego będąc na kurso-konferencji w Warszawie, nauczyła się takich sztuczek miłosnych, które ani chybi, dowodzą wiarołomstwa.

Pan Jakowicki jest krajowym rekordzistą. W ubiegłym roku do jego kasy wpłynęło 750 tysięcy złotych. Tak więc i on nie może narzekać na brak zajęcia.. Dłużnicy chowają się przed nim w mysią dziurę. Jeden z nich schronił się kiedyś aż do beczki. Pan Jakowicki i tam go odnalazł. Bywa i odwrotnie, to jemu przychodzi się czasem chować za węgieł, jak chłop z kosą go wita na progu. Wtedy komornik odkłada kwitariusz, a sięga po perswazję i woła: „Dziadku, odłóżcie kosę, zapalimy". Dziadek na to: „Mnie nawet z więzienia zwolnili, a pan chce ode mnie forsę odebrać".

Drobne wyjaśnienie. Rzecz dzialа się zaraz po amnestii. Dziadek nie mógł pogodzić się z myślą, że amnestia objęła człowieka, a nie jego grzywny.

Po takim dialogu, komornik wraca najczęściej do Łodzi na tarczy. To nie pomyłka. Do Łodzi wraca, bo tu mieszka, a do Sieradza tylko dojeżdża. Zresztą tak jak prawie wszyscy pracownicy sądu. O Sądzie Powiatowym w Sieradzu śmiało można więc powiedzieć, że jest to Sąd Wyjazdowy Reguła ta odnosi się do wszystkich sądów powiatowych w naszym województwie. Codziennie rano już od wielu lat sędziowie, prokuratorzy, adwokaci, mieszkający w Łodzi, wyjeżdżają w kierunku Łasku i Sieradza, Łęczycy i Kutna, Piotrkowa i Radomska. Zresztą nie tylko prawnicy. Także nauczyciele, inżynierowie, lekarze, dyrektorzy, nawet sekretarze, wszyscy chyba, prócz proboszczów.

Przyczyna jest znana, Łódź jest miastem zamkniętym, a to działa obosiecznie. Ponieważ trudno się tu dostać, więc inteligencja niechętnie opuszcza mury miasta. Jak widać każdy mur jest niewygodny, także dla tych, co w środku. Sztywne przepisy meldunkowe hamują deglomerację fachowców i osób z wyższym wykształceniem.

Szczególnie jaskrawo występuje to zjawisko w skali krajowej jeśli idzie np. o plastyków, projektantów, na kształcenie których Łódź ma niejako monopol. W naszym mieście jest ich nadmiar, w innych regionach kraju — brak. Zarliwe apele do absolwentów wyższych uczelni, by jechali na prowincję, nie skutkują, gdyż świadomość, że jeśli raz się opuści większe miasto, to już do końca życia powrót jest niemożliwy, działa odstraszająco. Stąd także bierze się niechęć do pobierania stypendiów z terenowych zakładów.

No cóż, prawda jest taka, że ci co zamknęli Łódź przed przybyszami, nie umieli myśleć kategoriami społeczno-ekonomicznymi. Tymczasem rozwiązanie jest proste. Trzeba przepisy meldunkowe zreformować w tym kierunku, by każdy łodzianin wyprowadzając się z miasta, nie tracił automatycznie prawa powrotu, przynajmniej w ciągu dwudziestu lat.

Wiadomo, że wyjazd na prowincję związany jest z pewnym ryzykiem. Młodzi ludzie mają mnóstwo obaw. A nuż coś nie wyjdzie, coś się nie uda, popadną w konflikt z dyrekcją i — kariera złamana. Mając szansę powrotu, chętniej będą się decydować na wyjazd do małego miasteczka czy na wieś. Powiedzmy szczerze, wyjeżdżając często z myślą powrotu za parę lat, zapuszczają tak silnie korzenie w nowym środowisku, że pozostają na stałe.

Obecne rozmieszczenie lekarzy, nauczycieli, prawników, jest nieprawidłowe. Większość skupiona jest w wielkich miastach i boi się prowincji. Sam fakt, że na przykład całe ekipy pracowników sądowych dojeżdżają z Łodzi w teren, nie jest znów czymś tak bardzo nowym. Ludzie ci wyłączeni są z pracy społecznej. Czas, który by mogli przeznaczyć działaniu społecznemu, pochłaniają im przejazdy. Co najciekawsze, jeśli chodzi o sędziów, to istnieje specjalny przepis, bodajże w formie ustawy, który zobowiązuje ich do zamieszkiwania na tym terenie, gdzie spełniają swoje funkcje zawodowe.

Oto prawie metropolia w porównaniu z małymi Poddębicami, miasto o profilu przemysłowym, prężnie rozbudowujące się — Radomsko. Leży na ważnych szlakach komunikacyjnych, ma ponad 30 tysięcy mieszkańców. Setki ludzi uczących się, studiujących (z jednej strony Łódź, z drugiej pobliska Częstochowa z Politechniką). I biblioteka: kilkadziesiąt tysięcy książek zwalonych w jednym pomieszczeniu. W drzwiach, odgrodzona balustradką przed naciérającymi czytelnikami — bibliotekarka. Po południu wpuszcza się po kilka osób, reszta czeka w pomieszczeniu udającym czytelnię, lub na ulicy. Trudności w odnalezieniu książek, złorzeczenia, obustronne zdenerwowanie. Gdzie tu miejsce na rozmowę z czytelnikami, na rzeczową, wyczerpującą informację? I tak już od lat. Powstają wokół nowe sklepy, kawiarnie, dom kultury, tylko dla biblioteki jakoś nie można znaleźć pomieszczenia, choćby dla biblioteki dziecięcej, choćby dla filii. A przecież ludzie tu przychodzący chcieliby nie tylko wypożyczyć książki. Tu chcieliby czytać, uczyć się, gdy np. akurat nie mają odpowiednich warunków w domu.

Nie lepiej przedstawia się sytuacja częstokroć w powiecie. Tu niefrasobliwość gromadzkich władz o swoją własność, bo taką jest przecież biblioteka, wyraża się nie tylko w przeciekających dachach, w nie remontowanych przez lata pomieszczeniach, braku opału na zimę, czy pieców w bibliotekach. Nie są zamykane, choć i takie wypadki się zdarzają, chyba tylko dlatego, iż rzadko dociera tam inspektor bhp. Tu też niejednokrotnie lokal biblioteki staje się przedmiotem swoistego przetargu. Są to pomieszczenia najczęściej wynajmowane przez Prez. GRN od gospodarzy w prywatnych domach. Dopóki nie ma kontrahenta, który zapłaci większy czynsz, bibliotekarz może spać spokojnie. Ale gdy zjawia się ktoś poszukujący lokalu, a może zapłacić więcej niż GRN, trudno odwoływać się do sumienia właściciela domu. Prezydia GRN są ponoć tu bezsilne (?) Przykłady? Oto w pow. rawskim poczta ruguje bibliotekę, w pow. poddębickim cały dom kultury zamienia się na spółdzielnię krawiecką. Gdzie indziej biblioteki często przenosi się do innych pomieszczeń, o wiele gorszych, ponieważ dotychczasowy lokal potrzebny jest GRN. Upycha się więc ją kątem w szkole, daje tzw. lokal zastępczy i to „na razie" trwa latami.

Przytoczone przykłady ze wskazaniem nazwy miejscowości nie wyczerpują wszystkich przypadków. Nie chodzi mi zresztą o sporządzenie takiego wykazu. Mam prawo sądzić, że podobne znalazłyby się i poza granicami naszego województwa. Podałem je dlatego, że ilustrują chyba dość dokładnie pewne niewłaściwe tendencje, które dają się zauważyć tu i ówdzie w administrowaniu na polu kultury, a wyrażają się one m. in. brakiem właściwych proporcji i oceną ważności problemów i spraw z tym związanych, by nie powiedzieć wręcz — w dość beztroskim traktowaniu naszego dorobku w tej dziedzinie. Przytoczyłem przykłady też i po to, by dopełnić obraz bibliotek, nieco świąteczny może, jaki przywykliśmy sobie wyobrażać. Powie ktoś, że przed paroma laty ten obraz obfitowałby w o wiele więcej czarnych barw, że z roku na rok sytuacja ulega poprawie, że nie od razu Kraków... Niewątpliwie. I tym realistom należy przyznać rację.

Ale nie tylko z niecierpliwości wyrastają moje uwagi i sądy. Chodzi o przyjęcie jako podstawowej prawdy, że, współczesny czytelnik to człowiek, któremu nie wystarcza przeczytanie książki w domowym zaciszu, rozkoszowanie się przygodami bohaterów; to człowiek, który na co dzień chce pogłębiać zdobytą wiedzę, któremu potrzebne są encyklopedie, słowniki, wydawnictwa fachowe. A gdzie to wszystko może znaleźć jeżeli nie w bibliotece? I nie może być dla nikogo zaskoczeniem, że takie wymagania stawia przed biblioteką czytelnik. Najpilniejszym zadaniem na dziś winna zaś być troska, by tym wymaganiom sprostać. Nie może więc być miejsca w tej pracy na chwilowy choćby zastój. Jeżeli dopuścimy do niego, na rezultaty nie będziemy długo czekać.

Bazę działalności biblioteki stanowią przede wszystkim — księgozbór i lokal. Pomijam tu osobę bibliotekarza, bo pomimo wszystko na ludzi oddanych książce możemy liczyć. Piszę — pomimo, bo choć na marginesie wspomnieć warto, że w ogromnej części praca bibliotekarza, szczególnie na wsi, jest pracą społeczną. Na terenie woj. łódzkiego tylko 19 proc. bibliotekarzy wiejskich zatrudnionych jest w pełnym wymiarze godzin. Reszta, a więc 81 proc. to pracownicy ryczałtowi, których „pensja" miesięczna nie przekracza często 400 zł. Woj. łódzkie jest pod tym względem jednym z najgorzej uposażonych w kraju. Ale są to problemy, które tłumaczyć trzeba wieloma przyczynami obiektywnymi. I to ci ludzie rozumieją. W tej sytuacji wydaje się, że należy czynić wszystko, by pomimo istniejących trudności ułatwić pracę bibliotekom.

EDWARD KOPCZYŃSKI

Pełnia życia

Życie akademickie w Łodzi zaczęło się normalizować. Działał „Bratniak" na ulicy Jaracza, uruchomiono stołówkę „Gęsie Pióro" na Piotrkowskiej, przy Narutowicza, wykłady odbywały się już w lokalach własnych, uzyskanych od władz miasta.

Andrzej korzystał przede wszystkim ze stołówki. Jedzenie było różne, raz lepsze, raz gorsze, ale zawsze gotowane, gorące. W tym czasie nie wkuwał już tyle. W pierwszym roku studiów wyrobił w sobie pewną dyscyplinę uczenia się, chodziło tu zarówno o rygory wewnętrzne, jak i o sam sposób przyswajania sobie wiadomości. Przekonał się, że wkuwanie do późnej nocy okresami jest gorsze od systematycznego, codziennego przyswajania sobie określonej części materiałów. Pilnie uczęszczał na wykłady. Ból, wywołany zerwaniem z Aliną, przycichał. Poznał wartość starej prawdy, że czas goi rany. Kiedy teraz, z perspektywy paru miesięcy, patrzył na swą pierwszą miłość, spostrzegł ze zdumieniem, że może o niej myśleć spokojnie, bez drżenia rąk, bez przyśpieszonego rytmu serca. Chciał zapomnieć zupełnie i dlatego często przebywał między ludźmi, obserwował ich. Zrozumiał pewne życiowe prawdy: że można kogoś lubić, a jednocześnie nie dopuścić aby przerodziło się to w przyjaźń. Ugorek był na przykład powszechnie lubiany, bo wzbudzał wesołość, ale nikt się z nim nie przyjaźnił, bo był zbyt śmieszny. Alina mogła z nim s y p i a ć, ale nie wolno mu było zaproponować jej małżeństwa...

Mniej więcej w tym samym czasie poznał Wrońskiego i kapitana Rożaja. Wroński był łodzianinem. Od niego właśnie dowiedział się wielu ciekawych rzeczy. Łódź pełna była warszawiaków. Zrozumiałe. Najbliższe duże miasto obok miasta pogrzebanego. „Miasto pogrzebane" — to chyba nawet dobre określenie. Pogrzebane na wierzchu, na wierzchu ziemi, bo przecież inaczej nie można było tego zrobić. Nie można było ziemi z istniejącym miastem odwrócić, jak płyty. Gdyby można, to Warszawa zginęłaby z powierzchni bez śladu. Teraz trzeba w gruzach dokopać się najpierw ziemi, a na to potrzeba czasu i pracy. Kiedy widział Warszawę, zastanawiał się, ile lat będzie na to potrzeba, dwa, dziesięć, dwadzieścia. Pojechał do Warszawy na odgruzowanie. W czynie społecznym. Pojechali odkrytym samochodem, pięćdziesiąt osób, dziewcząt i chłopców. Wydawało mu się wtedy, że przeżywał jakiś koszmarny sen. Szedł w gromadzie młodzieży alejami Jerozolimskimi, środkiem ulicy, jeżeli tak można było powiedzieć. Nikt nic nie mówił, na żadnej twarzy nie było cienia uśmiechu. Było tylko przerażenie. Dzień był pochmurny, szary, w powietrzu wisiała mgła. Dokoła ruiny i zgliszcza, szkielety domów, gmachów. Przechodzili koło Dworca Głównego. Żelazo i beton, olbrzymie, spiętrzone na sobie głazy. Uwagę przykuwał frontowy blok dworca, na pięć lub sześć pięter wysoki, z portalem wejściowym — odłupał się od reszty, przechylił na bok, stanął na „jednej nodze" i w tej akrobatycznej pozycji zdawał się kpić z praw fizyki, z prawa równowagi. Andrzej patrzył na to przerażonymi oczami i zastanawiał się, czy to miasto w ogóle można odbudować, czy starczy sił umęczonego narodu. Widział tu pracę dla całego pokolenia. Patrzył i myślał o tym, że tu, żeby zacząć budować, trzeba jeszcze niszczyć, zakładać miny i zrywać to, co grozi runięciem, rozbijać to, co w swoim ogromie jest zbyt wielkie, czemu nie podołają ręce ludzkie i najdoskonalsze maszyny. Idąc, mijali uszeregowane w jednej linii budki pozbijane z desek, pokryte papą, ze sterczącymi z dachów rurami, z których wydobywał się dym. Budka jest w nocy domem, a w dzień barem. Można kupić gorącą kiełbasę, herbatę, kawę, przy budkach jest dużo chętnych.

Pracowali nad Wisłą. Patrzył na drewniany most, łączący Pragę z miastem, wybudowany przez Rosjan w dwanaście dni, i nie mógł uwierzyć, że wystarczyło na to tak mało czasu. Most był masywny, przeszło na kilometr długi. Z mostu były widoczne sterczące w dali, żelazne konstrukcje wysadzonych przez Niemców mostów Kierbedzia i Poniatowskiego.

W Łodzi byli tacy, co robili interesy, otwierali sklepy z włoszczyzną i bimbrem, z chlebem i ciuchami, ze słoniną i dziełami sztuki. Dzieła sztuki wychodziły spod ziemi, odkopywane przez właścicieli lub pochodziły z szabru. Szabrownik. Słowo wtedy modne, znaczyło mniej więcej tyle co cwaniak. Byli tacy, co razem z socjalizmem chcieli mieć forsę. Wielu ją miało. Na przykład Wroński. Andrzej spotkał go kiedyś na bańce, facet gadał nie pytany, pokazywał pliki banknotów, ślinił się, miał w kącikach ust białą pianę i mówił, że trzeba mieć tylko baśkę, pokazywał przy tym swoją głowę, w kształcie trapezu, jeżeli ma się baśkę, to można zarobić, nosa za Łódź nie wytykając. Po co jeździć? Z jeżdżącymi różnie bywa, dostają się do mamra, a może się zdarzyć, że się czasem gdzieś źle wejdzie i śledzia można połknąć. A tu wystarczy po prostu mieć bazar na rynku, ludzie przychodzą sami, nie potrzeba prosić. Przychodzą tacy, którym się udało. Sprzedają za bezcen, bo przecież nie kupowali, nie płacili. Kupić można wszystko. Gabardynę na płaszcze, kamgarnową wełnę na ubranie, złoty przedmiocik, czasem brylant się trafi. Trzeba mieć tylko fart i odwagę. Głowa w kształcie trapezu miała odwagę, ale nie miała fartu. Na trzecim roku nie miała fartu, noga się powinęła i do końca studiów już się nie widzieli...

Kapitan Rożaj miał czterdzieści trzy lata. Dostał się na studia bez egzaminu, za zasługi wojenne. Był lubliniakiem, forsował Wisłę i zdobywał Berlin. Wytypowali go w jednostce i przysłali tutaj. Wciąż jeszcze chodził w mundurze. Z nim właśnie był Andrzej pierwszy raz w knajpie. Razem zdawali kolokwium z anatomopatologii, przed asystentem, doktorem Bilskim. Siedzieli ramię przy ramieniu, tak jak wtedy z Aliną. Kapitan zdał. Kiedy wyszli z pokoju asystenta, kapitan zaczął mu od razu tykać. Zaciągnął go do knajpy na rogu Narutowicza. Trzy małe zakopcone salki, pełne ludzi. Pili wódkę i jedli flaki, po flakach golonkę. Pili angielkami. Rożaj miał słabą głowę, prędko się upił i rozgadał na dobre.

— Mam maturę sprzed wojny, kapujesz bracie, ale c! tej matury minęło dwadzieścia pięć lat. Gdyby ojciec nie zmarł, może byłoby i na studia, bo stary miał fach w ręku, był farbiarzem. Był farbiarzem, a ze mnie chciał zrobić uczonego. Gdyby zrobił ze mnie farbiarza, miałbym przed wojną forsę, a tak miałem maturę i posadę u rejenta. Dorywczą posadę, roznosiłem zaprotestowane weksle. Gdyby to nie było dorywcze, to byłoby wcale dobrze, bo od weksla było pięćdziesiąt groszy, ale takich jak ja „dorywczych" było wielu. — Rożaj machnął ręką. — Gównianе życie, mówię ci, nie warto wspominać. Kiedy wyzwolili Lublin, wzięli mnie do armii. Podobno zasłużyłem się — Rożaj pociągnął z angielki — mam Krzyż Walecznych, ale nie o tym chciałem mówić... Widzisz, bracie, po dwudziestu pięciu latach na nowo się uczę. Nie jest łatwo, w łeb nie wchodzi.

— Mogę ci pomóc — zaproponował Andrzej.

— Chciałbyś?

Andrzej w milczeniu skinął głową.

Zasiedzieli się do późnego wieczoru. Kapitan Rożaj imponował Andrzejowi. W ogóle imponowali mu wojskowi. Zazdrościł im. Brali udział w wojnie, bili hitlerowców, zdobywali Berlin. Jego to wszystko ominęło, był w Niemczech i po prostu doczekał zwycięstwa. Tamci wykazali odwagę, męstwo, owiani byli legendą sławy. Zazdrościł im, bo mieli możność sprawdzenia siebie. Nie wiedział, czy byłby również takim jak oni, nie wiedział, czy i on zdałby ten egzamin. Wydawało mu się czasem, że zabrakłoby mu odwagi, że. mógłby zawieść. Bezpośredniość Rożaja, jego szczerość sprawiły, że zwierzył mu się z tych myśli. Rożaj patrzył na niego uważnie, a potem mówił w podnieceniu:

— Nie żałuj bracie, że to cię ominęło. Nie masz czego żałować. No, napijmy się jeszcze...

Tak się zaczęła ich przyjaźń. Pierwsza przyjaźń na studiach.

Przyjaźń z Rożajem przetrwała do dzisiaj. Ilekroć się widzą, mówią o tamtych latach. Rożaj świetnie się trzyma, Andrzej widział go przed dwoma laty. Rożaj specjalizował się w organizacji służby zdrowia.

— Muszę, bracie — mówił — bo tego wymaga życie. Kapujesz, zrobili ze mnie kierownika Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej.

Poszli na wódkę do „Bristolu", a Rożaj, jak zawsze, z ogniem w oczach, tłumaczył mu:

— Widzisz, bracie, robimy u nas medycynę społeczną, a mało kto na tym się zna. Medycyna społeczna, to jedyna droga, żeby najskuteczniej pomóc człowiekowi. Zrobiliśmy już w tej dziedzinie dużo, dużo więcej niż kraje bogatsze od nas, ale jesteśmy dopiero w pół drogi. Medycyna tkwi w chałupnictwie, a życie wali naprzód. Medycyna społeczna rodzi się w naszych oczach, a nie ma dotąd jasno określonego kierunku. Nie może mieć, bo jest sprawą nową, stąd różne potknięcia i błędy. Na tych błędach uczymy się.

— Czy słyszałeś o patologii społecznej?

— Nie.

— Widzisz — ucieszył się Rożaj — patologia społeczna, to wpływ stosunków społecznych na powstawanie chorób. A o profilaktyce społecznej słyszałeś?

Andrzej powiedział, że nie słyszał, ale domyśla się, co to jest.

— Widzisz — wołał Rożaj — profilaktyka społeczna to środki i reformy społeczne mające na celu zapobieganie chorobom. Pomyśl, ile u nas można zrobić, nie ma żadnych przeszkód, są najlepsze chęci — byle wiedzieć co lepsze, byle najmniej się mylić.

Rożaj wciąż młody duchem, wciąż pełen energii. Pracował na Wybrzeżu, do Warszawy przyjeżdżał na egzaminy. Znów się uczył, szósty krzyżyk na plecach, a odkrył w sobie nowe powołanie. Myśląc o Rożaju, niespodziewanie dla siebie, Andrzej poczuł jakby ukłucie zazdrości. Rożaj żył pełnią życia, rozsadzała go energia, zapał. A co on, Andrzej?

JAN HUSZCZA

Lesia Ukrainka

W tym roku upływa sto lat od narodzin najwybitniejszej poetki ukraińskiej. Lesia Ukrainka to literacki pseudonim Larysy Kwitka z domu Kosacz. Urodziła się 25. II. 1871 roku w Nowogrodzie Wołyńskim w ziemiańskiej podupadłej rodzinie o starym książęcym tytule. Jej matka sama była literatką.

Wcześnie chora (gruźlicą kości), umiała mimo to zdobyć wszechstronne wykształcenie. Aż się wierzyć nie chce, choć trzeba: poznała niemiecki, francuski, grekę i łacinę — potem zaś: angielski, włoski, polski, bułgarski, hiszpański. Mając lat dziewiętnaście, napisała na użytek swoich młodszych sióstr **Historię starożytną narodów wschodnich.** A przecież ktoś już w roku 1891 współczująco zauważył: „...biedaczka nie żyje, ale męczy się...".

Zmarła w Gruzji (m. Surami) 1. VIII. 1913 roku.

Pierwszy tomik wierszy **Na skrzydłach pieśni**, ukazał się we Lwowie w 1893 roku. Został wznowiony, z wielkimi okaleczeniami cenzury, w Kijowie w 1904 roku. **Myśli i marzenia** (Lwów 1899). **Odgłosy** (Czerniowce 1902) to dalsze tomiki liryków.

Do niej należą liczne poematy i dramaty poetyckie. W poemacie **Robert Bruce** opiewa szkocką walkę narodowowyzwoleńczą. Jak wiadomo. Robertowi Bruce udało się uzyskać niepodległość, którą uznała Anglia w 1328 roku. Inne tytuły: **Niewola babilońska. Na ruinach. W katakumbach. Kamienny gospodarz** (o Don Juanie). **Pieśni leśne** (w których wykorzystała wielkie bogactwo ukraińskiego folkloru). Są to przeważnie utwory historyczno-filozoficzne, poetka przetwarza w nich antyczne mity.

Lesia Ukrainka jest jednocześnie lirykiem i trybunem.

Autentyczną moralność społeczna i jednostkowa, wolność osobista i narodowa, walka z konserwatyzmem i zacofaniem, sytuacja rodaków pod zaborami — oto jej motywy w poematach i subtelnych, obrazowych i przejmujących lirykach. Żywo przeżywa nadzieje związane z 1905 rokiem.

Już pierwszym tomikiem liryków zyskała sobie wielkie uznanie i popularność. Ukraińsko-polski poeta i tłumacz. Sydir Twerdochlib, wydał w dwóch wydaniach (nakł. znanej w swoim czasie i zasłużonej księgarni Wilhelma Zuckerkandla w Złoczowie) **Antologię współczesnych poetów ukraińskich.** Przedmowę do antologii — skromnej zresztą — napisał Władysław Orkan, sygnując ją: Poręba Wielka, w maju 1910.

W króciutkim szkicu, wyliczając nazwiska prezentowanych poetów, Orkan zwraca uwagę właśnie na Lesię Ukrainkę, stwierdza:

„Z nich ta ostatnia najlepiej się wyraziła. Talent o szlachetnej formie, dar wnikania w kultury i poetyki obce, duży poetycki polot i dojrzałość".

Najzwięźlej i najdobitniej określił twórczość Lesi Ukrainki jej dobry znajomy. Iwan Franko:

„Od czasu Szewczenkowskiego **Pochowajtie ta wstawajtie** Ukraina nie słyszała tak męskiego słowa poetyckiego, jak z ust tej chorej słabowitej dziewczyny".

ŁESIA UKRAINKA

★
★ ★

Czemu to niekiedy, gdym się za coś wzięła,
Albo gdy już kończę, com pisać zaczęła,
Nagle mnie nawiedza niby czarna chmura
Zaduma jakże ciężka, jakże ponura.

Taka to zaduma mą wstrzymuje rękę,
Gdy ludzką powszędy ogląda się mękę,
Niedolę, łez pełną... Myślę wtedy sobie,
Po co trud mój skromny, co ja tu zrobię?

Dotąd na niedolę, ciążącą jak klątwa,
Nikt nie znalazł rady, cóż ja wskóram wątła?
Więc odrzucam pióro, przejęta żałością,
Lecz wówczas myśl inna we mnie zagości:

Może jednak moje pocieszą piosenki
Jakiegoś człowieka w czas jego udręki —
Lub może serdeczne któreś moje słowo
Ogień w czyimś sercu wskrzesi na nowo?

Może się pożytek zawiera w mym trudzie,
Może z mojej pracy skorzystają ludzie?...
Znów sił mi przybywa, rozglądam się w koło,
Biorę się do pracy, podnosząc czoło!
1888

Motyw z Mickiewicza

I znowu sobie powtarzam pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

(Z wiersza: *NIEPEWNOŚĆ*)

O nie. Nie kocham ja ciebie! Nie pragnę żoną być twoją.
Pocałunki twe, objęcia nawet w snach nie pieszczą mnie.
Nazwać zaś ciebie kochanym, me wszystkie myśli się boją.
Pytając siebie, czy kocham, zawsze odpowiadam: nie!

Lecz gdy się znajdę przy tobie, serce jak ptak załopoce,
Wzruszona, nie spuszczam oczu i ciebie podziwiam znów.
I choć się z tobą rozstaję, pełne są dni me i noce
Obrazów twojej postaci, dźwięku każdego z twych słów.

I często w myślach doniosłe z tobą rozmowy prowadzę,
Błądzę w światłości twych oczu, smutnych jak gwiazdy we mgle...
Ach, jak nic nie wiem, mój miły, sobie nic nie doradzę —
Gdybyś zapytał, czy kocham, czy mogłabym odrzec: nie?
1893—1894

Przełożył: Jan Huszcza

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

Prozatorski debiut poety

Panuje przekonanie, że pisanie wierszy jest dobrą szkołą dla przyszłego prozaika. Pisarz, który terminował w poetyckiej materii podchodzi z większą nieufnością do słowa, zna wagę skrótu, nie szasta niepotrzebnymi zdaniami, śmiałbym nawet zaryzykować twierdzenie że proza poety posiada dodatkowy lot i piękno — są to wartości ukryte w języku. Przy tym muszę się zastrzec, iż nie chodzi mi o ozdobne, „poetyczne" zdania w prozie, ale o język świadomy. Wielki poeta Julian Przyboś cenił wysoko epikę Marii Dąbrowskiej i nie przypadkowo na jednym biegunie polszczyzny umieścił „Pana Tadeusza", a na drugim powieść „Noce i dnie". Mowie niewiązanej przyznał rangę poezji.

Jak w kontekście tych rozważań widzę prozatorski debiut Józefa Henryka Wiśniewskiego „Zdaje się, że Franek wyszedł"?*. Dziwny tytuł. Sugerujący powszedniość, niedomówienie i tajemniczość. Opowiadanie tytułowe napisane do pewnego momentu techniką narracyjną, zakończone jest dwoma symbolami: Starą, z którą rozmawia Maria i morzem, do którego wchodzi Franek. Treścią opowiadania jest powrót dojrzałego już mężczyzny, pisarza, do miejsc dzieciństwa. Dzieciństwo przypadło na czas wojny, Franek zabijał. Był dzieckiem i zabijał wrogów ojczyzny. Teraz wrócił, by sobie to wszystko przypomnieć. Tropi krajobrazy i ludzi. Zapisuje. Nie wiemy, czy z materiału tego ma powstać książka, ale możemy się tego domyślić. Frankowi towarzyszy dziewczyna o wiele młodsza od niego, urodzona już w wyzwolonej Polsce. Dziewczyna ma na imię Maria. Jest piękna. Kocha Franka, lecz dręczą ją sprawy, których nie rozumie. Franek jest dla niej uśmiechniętym Sfinksem. Uśmiecha się do Marii jak do dziecka i Maria musi się na ten uśmiech zgodzić. I pogodzona zasypia. Gdy otwiera oczy, Franka nie ma już w pokoju. Padają kwestie:

— Franek — zapytała sennym głosem.

— A gdzie jest Franek? — usłyszała starczy głos kobiety.

— Nie wiem — powiedziała sennym głosem. — Zdaje się, że Franek wyszedł.

I tutaj następują dwa symbole, o których już wspomniałem. Stara to znak przeszłości. Dla Marii to się nie liczy. Maria widzi tylko oczami. Zna wartość czasu teraźniejszego. Urodę życia. Nic się temu czasowi nie oprze. Franek wszedł w morze, obmył się z wojennych urazów i wrócił. Wrócił do pięknej, młodej kobiety, Marii, po wycieczce w przeszłość.

Zatrzymałem się nad tym opowiadaniem Wiśniewskiego, gdyż wydaje mi się ono charakterystyczne dla jego prozatorskiej twórczości. Wiśniewski jest młodszym bratem Kolumbów. Gdy oni mocno trzymali karabiny w rękach, szli do lasu, wysadzali pociągi, on, podrostek, patrzył na nich zazdrośnie i zlizywał z warg smak prochu. Co prawda autor pokazuje się nam jako młodziutki partyzant ale brzmi to trochę jak przechwałka. Ale niech mu tam. Jeżeli tak było, tym gorzej dla tych, którzy z nami barbarzyńską wojnę zaczęli. Do tego samego wojennego nurtu zaliczyłbym opowiadania: „Babcia", „Mgła", „Pożegnanie", „Most". Są one sprawnie napisane. Wyróżniłbym szczególnie pierwsze i ostatnie. Poza nurtem wojennym można w książce wyodrębnić jeszcze dwa: obyczajowo-psychologiczny i groteskowy. „Dziewczyna z pociągu", „Murek" i „Broda" to zapewne najlepsze opowiadania w książce. Są jednorodne, napisane z przednim poczuciem humoru. Autor wprowadza do nich jeden z najcenniejszych elementów swego warsztatu pisarskiego — groteskę. Wiśniewski wie, że z opowiadaniem jest tak jak z biegiem na „setkę". Dlatego wprowadza nas z miejsca w akcję. Jest również niezłym dramaturgiem. Opowiadania mają dobrą kompozycję i... chciałoby się powiedzieć, język, boć przecież opowiadania wyszły spod pióra poety. I w tym miejscu srogi zawód. Język jest najsłabszą stroną tej książki. Może dałoby się obronić przed tym zarzutem opowiadania, gdzie groteskowe widzenie stworzyło pewną strukturę językową. Wiśniewski pisze potoczyście inteligenckimi okresami, tak jakby gawędził sobie przy ognisku, albo przy stole, popijając kawkę. Czasem jest gorzej. Rażą naiwności w rodzaju: „Leżeli dobrą chwilę w milczeniu. Odwróciła głowę w drugą stronę i odchyliła całe ciało tak mocno, że ledwo mógł sięgnąć dłonią jej twarzy. Nagle zobaczył, że ma otwarte usta i z oczu wypływają jej prawie ciurkiem łzy".

Szkoda więc, że przy wszystkich wartościach, jakie wymieniłem, zabrakło w prozie Wiśniewskiego wartości naczelnej, artystycznego języka. Język bowiem i tylko język decyduje o ostatecznej wartości każdego literackiego dzieła.

Józef Henryk Wiśniewski „ZDAJE SIĘ, ŻE FRANEK WYSZEDŁ". Wydawnictwo Łódzkie, 1970 r.

Rzeźba afrykańska

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

OD UPADŁYCH ANIOŁÓW DO PROWINDYKA BANDERY

Książeczka jest niepozorna i zaraz na początku trochę razi patetycznym stylem. Ale potem do głosu dochodzą już tylko frapujące fakty, wydobyte ze starych archiwów słynnego, dziś już nie istniejącego, więzienia na Świętym Krzyżu: zwięzłe, reporterskie opisy buntów, ryzykownych ucieczek i innych drastycznych incydentów więziennych, fragmenty takich dokumentów, jak listy więźniów, raporty strażników, zarządzenia i pisma naczelnika, a wreszcie autentyczne, stare pieśni więzienne, umieszczane przed każdym rozdziałem książki.

Zakład karny na Świętym Krzyżu powstał w miejsce działającego kilka wieków zakonu Benedyktynów już w 1819 roku. Przez około pięćdziesiąt lat był on terenem odosobnienia dla „upadłych aniołów" czyli duchownych wszelkich wyznań, skazanych na izolację przez sądy. Później księży przeniesiono gdzie indziej i w 1884 roku w rozbudowanym i odpowiednio ulepszonym więzieniu zaczęto osadzać cywilnych przestępców ze wszystkich nadwiślańskich guberni.

Równo stuletni okres ponurego funkcjonowania tej kaźni nie pozostawił po sobie prawie żadnych dokumentów choć nie pozostały bez echa liczne bunty i inne formy protestu więźniów przeciwko nieludzkim warunkom odbywania kary. Autor książki z konieczności musiał ograniczyć się do pokazania sytuacji, jaka panowała w świętokrzyskim więzieniu tylko w dwudziestoleciu międzywojennym.

Wygląda na to, że ówczesne władze przejęły nie tylko carskie mury i budynki, ale i dawniejsze metody penitencjarne.

Warunki odbywania kary były tam takie, że tylko najsilniejsze organizmy przetrzymywały zimno, wilgoć, niedostateczne wyżywienie i terror strażników, którzy mówili do więźniów otwarcie: „Nie przysłali cię po to, abyś odsiedział karę, ale na zgnojenie." Oto fragment grypsu skierowanego do Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom:

„Towarzysze zapadają na gruźlicę, puchną, tracą wzrok, dni ich są policzone. Od początku 1920 roku zmarło z górą pięciuset więźniów. W 1923 roku zmarło 90, a w styczniu 1924 roku — 11 towarzyszy. Więzienie jest przepełnione".

Więźniowie polityczni stanowili jedynie margines wychowanków zakładu karnego na Świętym Krzyżu. Często zresztą protestowali oni przeciwko przetrzymywaniu ich wśród pospolitych morderców i bandytów. Bo Święty Krzyż przeznaczony był w zasadzie dla najbardziej zdemoralizowanych, twardych i nieprzejednanych przestępców. W murach świętokrzyskiego więzienia przebywały największe sławy świata przestępczego czasów międzywojennych. M. in. Jan Kowalski — ten sam, który stoczył nad Niemnem walkę z całym oddziałem policji i uciekł im przez rzekę pod gradem kul. (A potem zginął na Świętym Krzyżu, stając na czele zbrojnego buntu więźniów); Józef Ostapowicz — król puszczy, który czternaście lat grasował w Białowieży; Nicoń — mistrz krakowskich doliniarzy, zabity później przez współwięźnia.

Wielu więźniów przebywających na Świętym Krzyżu próbowało swych sił literackich. Władysław Wójcik na przykład, który wspólnie z niejakim Popławskim zabił strażnika, napisał dzieło — notabene pochlebnie ocenione przez naczelnika więzienia — pt. „Bolszewizm w praktyce". Ale powstał tam również utwór, który stał się jednym z największych polskich bestsellerów lat trzydziestych, mianowicie „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy". Bo na Świętym Krzyżu odsiadywał wyrok słynny i sławny Sergiusz Piasecki — agent wywiadu, bandyta, postrach przemytników, król granicy.

Piasecki został skazany na karę śmierci. Ułaskawienie zmieniło mu ten wyrok na 15 lat więzienia. Po sukcesie jego książki nastąpiła kampania prasowa, prowadzona m. in. przez Wańkowicza i Cata-Mackiewicza, w wyniku której ciężko chory na gruźlicę Piasecki opuścił więzienie przed terminem.

„Wybitną postacią" świętokrzyskiego więzienia był również Stefan Bandera, prowindyk organizacji ukraińskich nacjonalistów, później przywódca UPA.

Bandera skazany został na dożywotnie więzienie za zorganizowanie w 1934 roku zabójstwa ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, Bronisława Pierackiego.

Nie był to „łatwy" więzień. Przebywający na wolności członkowie OUN cały czas opracowywali plany ułatwienia mu ucieczki. Ostrzeżone przez policję władze więzienne przedsięwzięły nadzwyczajne środki ostrożności: zamknięto Banderę w pojedyńczej celi, ograniczono mu spacery, strażnicy zaglądali do niego co kilka minut...

Nie udało się uciec Banderze. Wyszedł z więzienia dopiero w 1939 roku „odnaleziony" przez hitlerowskiego pułkownika, Erwina Stolze.

Książka Zbigniewa Nosala zaspokaja przede wszystkim szerokie zapotrzebowanie czytelników na literaturę dokumentalną. Nie ma w niej eksperymentu artystycznego, nie ma prób uogólnień światopoglądowych i psychologicznych. Jest klimat i kulawy rytm zbójeckiej, ponurej ballady, jest trochę zadumy nad żałosnym losem ludzi skłóconych z prostym, uczciwym życiem.

Zbigniew Nosal, „ŚWIĘTY KRZYŻ", Wyd. Łódzkie 1970, str. 105, cena zł 10.—

PROF. DR ZDZISŁAW ŻYGULSKI

Ze wspomnień uniwersyteckich

(Dokończenie z poprz. numeru)

Wybitną postacią i to w sensie zarówno dosłownym, jak i przenośnym, był wśród ówczesnych młodych polonistów, Stanisław Łempicki, popularnie „Pępusiem" zwany. Ciężki, o wspaniałej tuszy, o rozlanej, zawsze bladej twarzy, toczył się powoli i niezgrabnie, czasem z lekka się zataczając. Był to człowiek o iście gołębim sercu, bez żółci i zawiści, życzliwy, koleżeński, przyjaciel całego świata. Bardzo zdolny, obdarzony też doskonałą pamięcią, rozmowny, pełen humoru, niewyczerpany w opowiadaniu anegdot i facecji, zwłaszcza z życia uniwersyteckiego i z Zakładu im. Ossolińskich, gdzie pracował przez czas jakiś jako stypendysta, a później był przez dwa lata dyrektorem wydawnictwa. Ten pogodny, przemiły człowiek, któremu kariera szła sama do ręki, miał jednak pewną wadę. Był hipochondrykiem, bał się panicznie chorób i śmierci. Lekki katar zapowiadał, jego zdaniem, bliskie już zapalenie płuc, lekkie zaczerwienienie powieki zwiastowało nieuchronną ślepotę. Był tedy stałym klientem lwowskich lekarzy, których zanudzał swoimi rzekomymi dolegliwościami. Mania ta wzrastała oczywiście z biegiem lat, zaznaczała się jednak wyraźnie już podczas studiów i stanowiła przedmiot drwin ze strony bardziej złośliwych kolegów. Wygodny, trochę tchórzliwy Pępuś unikał też wszelkiego wysiłku fizycznego, bał się nawet jazdy koleją. Był jedynym znanym mi profesorem, który nigdy nie wyjechał za granicę. Nie był nawet w Wiedniu, dokąd każdy szanujący się Galicjanin od czasu do czasu pielgrzymował. Podkreślić jednak należy, że ta hipochondria nie mąciła zbyt jego w zasadzie pogodnego usposobienia i zapominał o niej na szczęście w ferworze ożywionej rozmowy, zwłaszcza przy kuflu piwa, lub przy karafce pomarańczówki. Grubas nie stronił bowiem nigdy od uciech dobrze zastawionego stołu, jadł dużo i pił niezgorzej. Mimo znacznych dochodów był stale w kłopotach finansowych, a bardzo niegospodarna żona nie ułatwiała mu sytuacji. Chwytał się też chętnie ubocznych zajęć, pracował w dziennikarstwie i w różnych wydawnictwach, byle tylko zdobyć trochę grosza. To przeszkadzało mu niewątpliwie w pracach naukowych, których też niewiele ogłosił. Jego domeną była literatura starsza, wiek XVI. Interesował się głównie działalnością Zamoyskiego i Szymonowica, też dziejami naszego szkolnictwa. Po ukończeniu studiów belfrował czas jakiś w gimnazjach, ale po roku 1918, gdy naraz otwarto w Polsce kilka uniwersytetów i zaczął się ruch między naukowcami, postarał się o katedrę historii oświaty na Uniwersytecie Lwowskim, jako że katedry polonistyczne były już na długie lata zablokowane. Na tej katedrze dotrwał do roku 1939.

Innego pokroju był trzeci inter pares, Stanisław Kot. (Nie mieszać ze współczesnym anglistą, Janem Kottem!). Kot pochodził z zachodniej Galicji, ale na studia nie skierował się do Krakowa tylko do Lwowa. Wyznawał zasady postępowe, był socjalistą, nosił nawet często symboliczny czerwony krawat. Niskiego wzrostu, gibki, zgrabny, o smagłej cerze, palących, czarnych oczach i czarnych, nastroszonych wąsikach, czupurny i zaczepliwy, obdarzony nie byle jaką swadą i złośliwym dowcipem, występował na wiecach akademickich jako wróg endecji, która przed pierwszą wojną światową nie była jeszcze tak wszechwładna na naszych wyższych uczelniach, jak później w okresie międzywojennym. Ambitny i pragnący zrobić karierę spostrzegł jednak rychło, że jako socjalista daleko nie zajdzie. Toteż gdy wybuchła wojna, a w Krakowie utworzył się Naczelny Komitet Narodowy, w którym znaleźli się reprezentanci różnych obozów, znalazł się w nim i Stanisław Kot. To go zbliżyło do krakowskich konserwatystów i do ugrupowań centrowych. Z tych czasów datuje się też jego przyjaźń z późniejszym generałem Władysławem Sikorskim. Po wojnie objął na Uniwersytecie Jagiellońskim katedrę historii szkolnictwa i położył zasługi zajmując się dziejami Reformacji w Polsce, która to dziedzina była celowo zaniedbywana przez dawniejszych, klerykalnych badaczy. Burzliwa kariera polityczna Kota w latach późniejszych wychodzi już poza ramy niniejszego szkicu.

Trzej omówieni osiągnęli rychło cel swych zabiegów: katedrę uniwersytecką, trzej następni poszli innymi drogami i inne przyświecały im cele.

Dalszy ciąg na str. 8

TERESA WOJCIECHOWSKA

OD STRONY WIEDNIA

Kiedy w ciągu pierwszego kwadransa po odsłonięciu kurtyny, ze sceny posypały się „szantrapy" i „lafiryndy", było już jasne: oto jesteśmy na operetce, którą zaopiekowali się polscy poeci-satyrycy *). I było prawie pewne, że znajdzie się wśród nich nazwisko Janusza Minkiewicza. I rzeczywiście. Ale postanowiłam nie pisać tym razem o przekładzie, bo po prostu temat zrobił się już nudny. Wydaje się, że utarł się u nas pewien schemat przekładu libretta operetkowego, którego cechą charakterystyczną są mocne wyrażenia i słaby dowcip. Stary mistrz, Julian Tuwim, nadal pozostaje w tej dziedzinie niedościgniony i na to nie ma rady.

Jan Strauss — syn, był przede wszystkim mistrzem walca. Jego operetki pisane są w rytmie walca i wszystko co się na scenie dzieje, jest pretekstem dla zaprezentowania walca, walc jest głównym bohaterem straussowskich przedstawień. Libretta natomiast nie odbiegają od operetkowego schematu. Rzec można, że „Wiedeńska krew" ma libretto superschematyczne, z czego zapewne zdawali sobie sprawę jego autorzy i tak je urozmaicali pomysłami, że czasem aż nie wiadomo o co chodzi. Nie jest to jednak istotne jeżeli da się spektakl, w którym wyeksponowana zostanie strona muzyczna, jeżeli na pierwszy plan wyjdzie orkiestra, śpiew, a także taniec. A wszystko trzeba podać w pewnym sensie klasycznie, bez silenia się na nowoczesność inscenizacji, bez musicalowych ciągot.

W gruncie rzeczy łódzkie przedstawienie było chyba tak właśnie pomyślane. Główne role obsadzono wykonawcami o najlepszym materiale głosowym, jakim dysponuje Teatr Muzyczny. Strona wokalna, szczególnie w głównych partiach, nie budziła zastrzeżeń. Krystyna Nyc-Wronko (Franzi) niezawodna wokalnie i aktorsko, jak zawsze śliczna i wytworna, Edward Kamiński (hr. Zedlau) był w świetnej formie głosowej, znacznie też poprawił swą dykcję i aktorstwo. Danuta Łopatówna (Gabriela), jak na swój temperament, stworzyła postać raczej stonowaną, co wyszło jej (Gabrieli) tylko na dobre. Niczyja to wina, że Krystyna Nyc-Wronko, dzięki swej aparycji, wyglądała raczej jak hrabina niż jak tancerka. Janusz Duński (Józef) walory muzyczne połączył z interpretacją, trafiając w odpowiedni, wydaje się, ton aktorstwa nie przeszarżowanego, a jednak lekkiego i zabawnego. Krystyna Jarmułówna (Pepi) pełna wdzięku, dobrze radziła sobie z partiami tanecznymi. Poza tym oglądaliśmy i słuchaliśmy: Witolda Jawisa (Minister), Piotra Augustyniaka (hr. Bitowski), Sergiusza Wasowicza (Kagler), Anitę Nikitin (Anna) i Zbigniewa Bobowskiego (Fiakier).

Ale soliści to była najmocniejsza strona przedstawienia. Wydaje się, że Tadeusz Cygler popełnił błąd zamierzając owo przedstawienie raczej kameralnie, niż widowiskowo. Bo operetki w ogóle, a operetki Straussa szczególnie, bardzo tego nie lubią. Nie jestem wcale przekonana czy scena Teatru Muzycznego jest aż tak mała, by wyjście skromnego liczebnie baleciku trzeba było poprzedzać wynoszeniem dekoracji, czy scenografię trzeba było tak konstruować, by na scenie nie zmieścił się większy zespół baletowy. Walc, ten walc-bohater wieczoru, reprezentowany jest w występach baletu tylko dwukrotnie i to bardzo skromnie. W drugim akcie na przykład tańczą cztery pary, w układzie nieefektownym, ubogim, w dodatku nie dopracowanym technicznie, ciekawym jedynie w króciutkim występie duetu Piekarska — Pawlak. Szkoda, że na stronę baletową przedstawienia nie położono większego nacisku. Nie wiem, czy to sprawa koncepcji reżyserskiej, czy innych sił, ale szkoda. Jaką rolę mógł w tym przedstawieniu odegrać balet, widać było na przykładzie znakomitej polki z trzeciego aktu, która nagrodzona została największymi podczas całego wieczoru brawami publiczności. Ale jeszcze bardziej szkoda, że zawiodła i orkiestra, że w jej wykonaniu walce były mini-walcami, że odgrywała w przedstawieniu rolę drugorzędną.

W sumie — „Wiedeńska krew" ma wiele momentów ładnych i sympatycznych, ma dobrych wykonawców, brak jej jednak rozmachu, blasku, atmosfery beztroskiej zabawy z epoki „tańczącego Kongresu".

*) „Wiedeńska krew". Muzyka — Jan Strauss; libretto — Victor Leon i Leo Stein; przekład — J. Minkiewicz, J. Brzechwa, A. Tur; reżyseria — Tadeusz Cygler; kier. muzyczne — Beata Ambroż; scenografia i kostiumy — Bolesław Kamykowski; choreografia — Mikołaj Kopiński. Teatr Muzyczny.

Z wolejа

Kiedy mistrz ma odejść?

Prawdziwi kibice sportowi potrafią przejechać wiele kilometrów, aby wziąć udział w spektaklu sportowym, w którym ma wystąpić ich ulubieniec. Jest to szczególnie domeną tzw. sportów indywidualnych, gdzie fetuje się zwycięstwo jednej zawodniczki czy zawodnika, chociaż i w sportach zespołowych drużyna może posiadać wybitne indywidualności. Takich szczególnie utalentowanych zawodników sport polski posiadał i posiada wielu. Do nich zalicza się Jerzy Kulej.

Nie chciałbym tutaj przedstawiać szczegółowej drogi tego pięściarza — do dwóch złotych medali olimpijskich, zachwycać się jego walkami z Węgrem, Kajdim, czy bokserami radzieckimi. Sprawy te znane są powszechnie nie tylko kibicom sportowym. Był talentem najprzedniejszej marki, postrachem bokserów całego świata. Jak zwykle pracowicie przygotowywał się do przyszłorocznej Olimpiady w Monachium, może marzył o zdobyciu trzeciego złotego medalu? Aż tu raptem w programie telewizyjnym Jerzy Kulej oświadczył, że definitywnie, od zaraz, rozstaje się ze sportem. Jako uzasadnienie tego kroku podał wiele racji, powiedział m. in., że chce skończyć AWF i nadal pozostać w boksie, teraz już jako wychowawca młodzieży. Nie jest to ważne. Po takich sukcesach i w tym wieku mógł się wycofać nawet bez podania przyczyn.

Tymczasem dyskusja, jaka rozwinęła się wokół tej decyzji, przekroczyła wszelkie przewidywania. Zaczęły się naciski na Jerzego Kuleja, by zmienił decyzję, by jeszcze wystąpił w Monachium. Zaczęto używać chwytów, hm, troszkę nie bokserskich, poniżej pasa. Niedwuznacznie przypomniano Kulejowi jakieś grzeszki, wspomniano pomóc, jakiej doznał od klubu i od władz sportowych. Wszystko to, bardzo żenujące, miało spowodować zmianę decyzji u tego zawodnika. A przecież Kulej swoją ciężką pracą i jej wynikami zasłużył na to, by cieszyć się szacunkiem, by w odpowiedniej chwili doznać potrzebnej mu pomocy. Raptem dostrzeżono, że w wadze lekkopółśredniej nie mamy boksera na miarę Kuleja i że w ten sposób odpadnie jeszcze jedna perspektywa medalowa na Monachium. A przecież Kulej trenował i błyszczał przez wiele lat i władze bokserskie powinny liczyć się z możliwością odejścia tego zawodnika. Nie chcę tu bawić się we wróżkę i zgadywać, czy Kulej zdobyłby jakiś medal w Monachium, czy nie. Mając jednak w pamięci ostatnią rundę walki finałowej w Meksyku Kuleja z Kubańczykiem Regueiterosem, czy chociażby ostatnie występy Kuleja na krajowych ringach, przypuszczać można, że nie byłaby to łatwa sprawa. A owa ofensywa na Kuleja była i niesmaczna i niepotrzebna.

Problem odejścia mistrzów, ich rezygnacji z czynnej kariery sportowej i przejścia na zasłużony odpoczynek jest zawsze problemem bolesnym, przykrym zarówno dla samego zawodnika, jak i jego sympatyków. Znane są w historii sportu przypadki, gdzie zawodnicy w zaawansowanym wieku skutecznie kontynuowali karierę sportową.

Wszystko jednak zależy od tego, czy zawodnik odnosi takie sukcesy i co najważniejsze, tak dobrze się czuje, jak to sobie zakłada.

Nic natomiast gorszego, niż oglądanie na ringu bokserów, którzy kiedyś stanowili ścisłą czołówkę światową, a teraz swoją postawą budzą tylko uczucie żalu. Tak było z Szymurą i Kolczyńskim, nadal w jakimś drugoligowym zespole walczy złoty medalista z Tokio, Kasprzyk. Czy nie przyjemniej wspomina się takie nazwiska jak Paździor, Drogosz, Pietrzykowski, którzy w pełni sportowej glorii wycofali się z czynnego życia sportowego? Czy nie przyjemnie wspominać będziemy Kuleja takiego, jakim go zapamiętaliśmy z ringu — boksera o świetnej technice, doskonałej walce w obronie i piekielnie silnym ciosie, szczególnie w zwarciu. Pamiętać będziemy także to, że Kulej w walce ze słabszymi i znacznie młodszymi partnerami nigdy nie wypuszczał swojego nokautującego ciosu, oszczędzając młodego kolegę. Takim go zapamiętamy.

M. STOLARSKI

Ze wspomnień uniwersyteckich

Dalszy ciąg ze str. 7

Stanisław Wasylewski spędził dzieciństwo w Stryju, małym mieście galicyjskim, położonym na południowy-wschód od Lwowa. Dziwnym zbiegiem okoliczności z tego właśnie, na uboczu położonego miasta, wyszło kilku ludzi, którzy w pierwszych dziesięcioleciach naszego wieku odegrali pewną rolę w naszym życiu kulturalnym. (Makuszyński, Wierzyński, Horzyca). Wasylewski był synem inżyniera kolejowego i naczelnika parowozowni na stacji w Stryju.

— „O sobie cóż powiem? — pisze w swych Wspomnieniach. — „Usypiały mnie od maleńkości turkoty wagonów, gwizdy parowozów, czułem się zawsze najlepiej w pobliżu stalowych szyn".

Urodą nie grzeszył, szpecił go bowiem zez. Dowcipniś, cynik, trochę dekadent, nonszalancki w obejściu, złośliwiec o ciętym języku, puszczał w kurs niezliczone kawały i anegdoty o swych kolegach, o Kleinerze, o Pępusiu, a także o profesorach, zwłaszcza, o Bruchnalskim i Gubrynowiczu. Wasylewski sam stwierdza, że jego dowcip był „niszczący". „Kleiner — powiada — żachnął się czasem i słusznie, a Pępuś odgryzał się zręcznie". Bruchnalski natomiast i Gubrynowicz powzięli ku niemu wielką niechęć. Pierwszy z nich, mściwy z natury, nie mógł mu wybaczyć tego, co o nim opowiadał po kawiarniach i knajpach i starał się mu szkodzić, gdy tylko mógł, drugi natomiast, człowiek bez żółci, zazdrościł mu jednak sukcesów, o których sam na próżno marzył i starał się deprecjonować wartość jego dzieł.

Los bowiem sprzyjał Wasylewskiemu. Bez trudu osiągnął w krótkim czasie to, na co inni latami całymi czekali, a gdy przyszło mu sporządzić bilans pracowitego żywota, to swojej autobiografii dał znamienny tytuł: „Czterdzieści lat powodzenia" (Wrocław 1959, Ossolineum). Niewielu jest chyba pisarzy, którzy mogliby to o sobie powiedzieć.

Studiów uniwersyteckich formalnie nie ukończył. Nie miał doktoratu. Zdał jedno rygorozum, ale do drugiego już nie przystąpił. Porwała go pasja dziennikarska i literacka. Ta praca przychodziła mu z łatwością, ale i tu zaznaczało się jego wrodzone wygodnictwo. „Nigdy w życiu nie podejmowałem roboty, jeśli mi nie sprawiała przyjemności" — pisze sam o sobie. A tę przyjemność znajdował przy biurku redakcyjnym lub w bibliotece, gdzie śledził żywoty dam i kawalerów z czasów Stanisława Augusta lub z epoki Wielkiego Księstwa Warszawskiego. Pasjonowały go szczególnie dzieje obyczajowości w minionych stuleciach i tym właśnie powięcił swe pióro („U Księżnej Pani", „Na dworze króla Stasia", „Romans prababki", „Klasztor i kobieta", „Portrety pań wytwornych", „Madame Zajączek"). Książki te cieszyły się ogromnym powodzeniem. Tuż po ogłoszeniu „Księżnej Pani" — pisał: „Nagle, z miesiąca na miesiąc, stałem się znanym, poczytnym, ba, rozchwytywanym pisarzem".

W roku 1913 był już współredaktorem świeżo założonej „Gazety Wieczornej" we Lwowie. Był to organ zwracający się przeciw rosnącej w siły endecji i jej popularnemu „Słowu Polskiemu". Na tym stanowisku zabłysnął Wasylewski już w całej pełni swym dziennikarskim talentem. Pismo było żywe, nawet błyskotliwe, przyciągało wybitne pióra. Tu drukował Żeromski swą świeżo napisaną „Wierną rzekę", tu pojawiła się interesująca powieść młodszego Staffa pt. „Grzeszne gołębie". Od roku 1915 redagował też Wasylewski „Gazetę Poranną", a po wojnie doskonale pisemko humorystyczne „Szczutek". Związał się wtedy ściśle z obrotnym wydawcą Alfredem Altenbergiem, którego nazywał swym „jedynym, najlepszym przyjacielem" i któremu poświęcił ciepłe słowa w swych „Czterdziestu latach powodzenia".

W roku 1927 przeniósł się na stałe do Poznania, gdzie też rozwinął ożywioną działalność. Redagował „Bibliotekę Laureatów Nobla", był stałym współpracownikiem pism, jak: „Dziennik Poznański", „Gazeta Polska", współpracował z rozgłośnią Polskiego Radia etc... Dostąpił tu też różnych zaszczytów. W roku 1937 otrzymał nagrodę literacką miasta Poznania, później Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury oraz Krzyż Oficerski Orderu Odrodzonej Polski.

W jesieni 1939, po wybuchu wojny, znalazł się we Lwowie. Spotykałem go wówczas często. Zmienił się mało. Był zawsze sobą: przedsiębiorczy, obrotny, pełen inicjatywy, mimo niesprzyjających warunków. W czasie okupacji hitlerowskiej redagował koncesjonowaną przez władze „Gazetę Lwowską" utrzymując pismo na wysokim poziomie, o ile to wówczas było możliwe. Po wojnie potępiono go za to, ale w roku 1946 rehabilitowano. Osiadł ostatecznie w Opolu, gdzie zmarł 26 lipca 1953.

Wasylewskiemu przyświecała wiernie szczęśliwa gwiazda przez lat czterdzieści. Nie można tego, niestety, powiedzieć o Tadeuszu Dąbrowskim, młodym poloniście z tej samej generacji, któremu nie było nawet dane dożyć do czterdziestki. Był moim starszym kolegą z lwowskiego gimnazjum. Jego późniejszy biograf i entuzjasta, Jerzy Płomieński, podkreśla „wytworność jego stroju", który dokładnie opisuje w swej książce pod tytułem „Twórcy bez masek" przedstawiając Dąbrowskiego jako wielkomiejskiego elegenta. W mojej pamięci osoba Dąbrowskiego nie kojarzy się jednak bynajmniej z „wytwornością". W szkole średniej chodził, jak wszyscy uczniowie, w przepisowym studenckim mundurku, a na Uniwersytecie elegancją się nie odznaczał i nie rywalizował swymi garniturami z modnie wystrojonymi paniczykami, jakich w ówczesnych kołach akademickich nie brakło.

Wycieczka w zimowy pejzaż

Dalszy ciąg ze str. 4

storii, fizyczne ślady zdarzeń drobnych lecz wyjątkowych. Przedmioty, które są bezcenne i takie, których sens istnienia polega na tym, że są małym ogniwem w łańcuchu legendy lub anegdoty jakiejś. Ale obaj, i tamten awanturnik-poeta, i ten — farmaceuta w małym miasteczku K. — zbierają, zbierają, zbierają... Dlaczego? Po co? Co zmusza ich do tego zbieractwa? Przede wszystkim chyba wewnętrzna potrzeba poszerzenia swego świata, poszerzenia jego granic aż do najdalszych, nie objętych horyzontów. Cendrars jeździł po świecie wzdłuż i wszerz, przenosił się z kultury do kultury, od jednych ludzi do innych, z krajobrazów w krajobrazy, w bibliotekach wnikał w mroki lat dawnych. Przedmioty zebrane w prywatnym muzeum są dla pana Dunin-Borkowskiego partnerami rozmowy, poszerzają jego świat do ogromnych rozmiarów.

Oczywiście, jest to jedna tylko strona medalu. Cendrars pisał, malował. Widziałem jak Dunin-Borkowski brał do ręki przedmioty — brał je z lubością, przyjemność sprawiało mu ich dotykanie.

Skończył się wieczór. Wracamy do Łodzi. Ośnieżone pola. Doprawdy dziwny dzień.

I tak to w zimowy, polski pejzaż wplótł się niespodziewanie miedziany waż z japońskiej bransolety. Stadka wron, oglądane rano w słońcu, nadlatywały teraz i krążyły chmurami gdzieś w mroku, tak, jak krążą na obrazach Wereszczagina ponad resztkami armii Małego Kaprala. A w głowie, werset z Kartezjuszowskiej „Rozprawy o metodzie" tłukł się w rytmie „Kolei transsyberyjskiej": „...Wielka księga świata. Podróżować, oglądać dwory i przygladać się armiom, bywać u ludzi rozmaitego usposobienia i kondycji, gromadzić różnoraką eksperiencje, doświadczać samego siebie wśród odmian fortuny..."

I popatrzcie no, państwo, do czego to może dojść gdy człowiek wybierze się w podróż przez polski zimowy pejzaż i popuści trochę wodze wyobraźni.

ANDRZEJ GRUN

Fot. R. Prokulewicz

O sezamie i 10 mln bezrobotnych

— OPOWIADA MGR INŻ. JERZY SŁOMCZYKOWSKI

Nasz kraj co roku musi mieć blisko 4 tysiące ton ziarna sezamowego, żeby szły fabryki cukiernicze, żeby utrzymać eksport chałwy, bardzo zresztą opłacalny. Po to ziarno sezamowe pojechałem aż do Afryki. Byłem w Tanzanii, byłem w Kenii, aby ten sezam... otworzył się dla nas. W niektórych krajach Czarnego Lądu ziarenka sezamu wysypujące się z wysuszonych łusek rośliny, są prawdziwym, ba czasem jedynym skarbem kraju. Tym bardziej, że sezam kwitnie bajecznie kolorowo, wielkie obszary pokrywają wzorzyste dywany. Ale sezam sezamowi nie równy — więc wysłano mnie jako eksperta, który miał zbadać różne jego gatunki, wybrać najlepszy i niedrogi. Przy tej okazji zwiedziłem Dar-es-Salam, Mombassę, Mtwarę, zajrzałem do buszu.

— Po co do buszu? Przecież sezam nie rośnie w buszu?

— Oczywiście, nie rośnie. Ale nie można powiedzieć nic o niepodległej od 1964 roku Tanzanii, jeśli się najpierw nie poznało warunków życia 10 milionów Tanzańczyków, żyjących w dżungli. Wyobraź sobie — stolica, a więc Dar-es-Salam, oczarowała mnie zupełnie. Gdy w drodze powrotnej zabawiłem trochę w Rzymie, to wiedz — Wieczne Miasto wydało mi się w porównaniu ze stolicą Tanzanii miastem szarym i monotonnym. Wyobraź sobie szumiący ocean, oślepiający blask słońca, najnowszą architekturę wkomponowaną w wiecznie zieloną przyrodę, stylowe gmachy ministerstw i instytucji użyteczności publicznej, wyższych uczelni. Wszystko, co najlepsze, zgromadzono w Dar-es-Salam. Tutaj odnalazłem znajomych z... Łodzi, tutaj dowiedziałem się, co dla Tanzanii oznacza National Development Corporation i czym dla tego państwa są Hindusi.

A więc odnalazłem „łodzian", którzy kiedyś studiowali w Studium Języka Polskiego dla Obcokrajowców, potem wrócili do swej ojczyzny i teraz pełnią różne funkcje w administracji państwowej, przemyśle, rządowych instytucjach. Przyjmowali mnie nadzwyczaj serdecznie i gościnnie, zapraszali, żeby wkrótce znowu przyjechać do Dar-es-Salam, jednym słowem zachowywali się tak jakby Tanzania była tuż za Zgierzem. To oni powiedzieli mi również o NDC (National Development Corporation). NDC jest państwowym trustem mózgów od planowania gospodarczego, inicjatyw przemysłowych, jednym słowem od nadawnia głównych kierunków rozwoju w tym kraju. NDC interesuje się każdą zgłoszoną inicjatywą i propozycją gospodarczą, ale pieniądze państwowe angażuje tylko w propozycjach, gwarantujących szybki dochód. Szybko realizuje się tu koncepcje spółek państwowo-prywatnych, z tym, że zależnie od branży udział kapitałów państwowych jest różny, np. w uprawę tytoniu ryzykuje się niekiedy aż 70 procent udziałów państwowych, ale w przemyśle mleczarskim tylko 30 procent.

— A co z tym wszystkim mają wspólnego Hindusi?

— Hindusi napłynęli tu zwartą grupą, tuż po ogłoszeniu niepodległości przed sześcioma laty, i objęli większość stanowisk tzw. operacyjnych. Hinduscy inżynierowie i naukowcy, specjaliści od różnych dziedzin, dyrektorzy, kierownicy produkcji — „robią" całą gospodarkę tanzańską, chociaż nie rządzą. Bo struktura tutaj jest taka: na samej górze — Tanzańczycy, trochę niżej, a więc ta kadra operacyjna — Hindusi, jeszcze niżej, na samym dole — znowu czarni. Hindusi zbudowali tu w ostatnich latach najwięcej prywatnych willi i bungalowów, nadają ton w towarzystwie i na uniwersytecie, ale mówi się już, że wkrótce nastąpi zmierzch ich karier. Coraz częściej na różnych stanowiskach można zobaczyć krajowca, co roku kadry absolwentów wyższych uczelni i szkół technicznych zasilać będą życie gospodarcze, wypierając hinduski „operatyw". Odczuwa się tu jednocześnie, że nawet w rezultacie tego systematycznego przenikania rodzimej ludności i tanzańskich fachowców do średniej kadry technicznej i kierowniczej, nie straci nic ze swego znaczenia wielki problem ludzi z buszu. Jest to problem społeczny i gospodarczy o olbrzymiej doniosłości.

Chodzi o to, że w buszu mieszka 10 milionów Tanzańczyków, dla których Dar-es-Salam jest wielkim, nieznanym i może niepojętym światem, dla których cała ta nowoczesność i postęp reprezentowany przez stolicę państwa nie jest jeszcze żadnym pojęciem. W Dar-es-Salam planuje się rozwój gospodarczy kraju, w stolicy i w innych ośrodkach uruchamia się nowoczesne fabryki, przebudowuje się ekonomikę kraju — do tego wszystkiego trzeba ludzi, którzy chcieliby pracować, trzeba nawet setek tysięcy robotników niewykwalifikowanych. A tych ludzi do pracy nie ma.

— Czy mieszkańcy buszu nie są rezerwą rąk do pracy?

— Są i nie są. W Tanzanii natrafiamy na niezwykły paradoks: istnieje duże zapotrzebowanie na ludzi do pracy, a jednocześnie wegetuje w tym kraju 10 milionów bezrobotnych. Ludzie z buszu bowiem nie odczuwają potrzeby pracy, w ich psychice nie powstały jeszcze potrzeby i aspiracje, skłaniające człowieka do podjęcia wysiłków dla ich zaspokojenia. Żeby utrzymać się przy życiu wystarczy sięgnąć ręką — tu niemal wszystko, co rośnie nadaje się do jedzenia.

W buszu nie ma potrzeby w zakresie odzienia, w temperaturach 30—40-stopniowych chodzi się pół nago, nie ma potrzeb mieszkaniowych, gdyż bambus rośnie wszędzie, a szałasy bambusowe są dla ludzi z buszu dostatecznym schronieniem.

W tych warunkach tak istotna jest praca nad przekształcaniem psychiki tutejszej ludności, nad stworzeniem potrzeb cywilizacyjnych, nad stworzeniem potrzeby pracy. Nikogo też w Dar-es-Salam specjalnie nie zdziwiło, że brat prezydenta Neyre osiadł w wiosce murzyńskiej, z dala od miast i stolicy. Traktuje swoją misję jako posłannictwo, mające na celu przekonanie mieszkańców buszu do postępu i do cywilizacji. Cieszy się wielkim mirem wśród czarnych obywateli, zyskał ich zaufanie, ale od tego wszystkiego do skutków społecznych jakich oczekuje rząd tanzański, jeszcze daleko. Postępowe siły w kraju wiodą go do lepszego jutra, tymczasem jednak dotkliwie występuje brak rąk do pracy, tymczasem... linie kolejowe budują tu Chińczycy.

— To bardzo interesujące.

Chciałbym być tam jeszcze raz. Choćby za dziesięć lat, do tego czasu musi się wiele zmienić w Tanzanii.

Rozmawiał: FELIKS BĄBOL

Już w gimnazjum zwrócił na siebie uwagę bystrą inteligencją i niepospolitymi zdolnościami. Z usposobienia oschły, kostyczny, nie jednał sobie przyjaciół i nie ułatwiał sobie kariery. Wyznawał poglądy postępowe. Był sceptykiem odnoszącym się wrogo do praktyk religijnych. Podczas nabożeństw szkolnych stojąc z tyłu za liczną rzeszą sztubaków, rozprawiał głośno z kilkoma podobnie nastrojonymi kolegami, nie troszcząc się o to, co się odbywało w kościele. Na uniwersytecie wybił się wkrótce na czoło młodej generacji uczęszczającej na wykłady i seminaria Kallenbacha. Oczytany, przenikliwy, cięty w dyskusji rywalizował skutecznie z „samym" Kleinerem, co nie było rzeczą łatwą. Był jednym z kierowników akademickiego „kółka polonistów" i dał się poznać jako zdecydowany wróg endecji, a także jako zwolennik Stanisława Brzozowskiego, którego „sprawa" wówczas wybuchnęła. Wcześnie też zaczął ogłaszać artykuły i recenzje, które zwróciły na niego uwagę fachowców. Ale mimo te pierwsze sukcesy, kariera jego nie układała się tak pomyślnie, jak kariery jego wyżej wymienionych kolegów. Nie szukał poparcia u wpływowych osobistości, nie był oportunistą, szedł śmiało swoją własną drogą. Wyjechawszy w jesieni 1908 na lat kilka do Wiednia straciłem go z oczu. Zresztą nigdy bliższe stosunki koleżeńskie nas nie łączyły. Po powrocie widywałem go już rzadko. Publikował w dalszym ciągu swe artykuły, pisał recenzje, przystępował do prac zakrojonych na szerszą skalę. Z owych lat pochodzą wspomnienia przekazane nam przez Płomieńskiego. Posłuchajmy, co pisał o nim jego wielbiciel: „Był bardzo skryty; mimo towarzyskich zażyłości z nim nie wątpiłem, że moja wiedza o jego wewnętrznym życiu jest stosunkowo niewielka. Nawet wtedy, gdy mówił o sobie, robił to zawsze w sposób trochę zagadkowy. Był dostatecznie silnym człowiekiem, by pozwolić sobie na kosztowny luksus samotności. Byłem pewny, że nie ma szczerych przyjaciół i nie pożąda wcale przyjaźni".

Te cechy charakteru i usposobienia potwierdzają i inni np. Karol Irzykowski, który znał go dobrze i nawet cenił jako krytyka, ale miał z nim na pieńku. „To był naprawdę człowiek mocny i bezwzględny" — powiedział raz autor „Paluby". — „Poznałem to na własnej skórze" — dodał.

Ale ten „mocny człowiek" miał i swoje słabe strony, a raczej swą słabą stronę: lubił nadmiernie kobiety. Adorujący go zresztą Płomieński nazywa go bez ogródki: erotomanem. Ta skłonność zatruła mu później ostatnie dni życia, naraziła na wielkie przykrości i przyśpieszyła zapewne rozwój śmiertelnej choroby, która położyła kres jego młodemu życiu. Gdy w roku 1914 wybuchła wojna, Dąbrowski znalazł się w Stryju. Płomieński ujrzał go niespodziewanie, nonszalanckiego cywila, wśród tłumu niebieskawych, polowych uniformów zalewających wówczas ulice miasta. Udawał dandysa i patrzał ironicznie na krzykliwych austriackich oficerów, wśród których dostrzegał też znajomych, zmobilizowanych kolegów po piórze. W Stryju przeżył też miesiące rosyjskiej okupacji, po czym przeniósł się do Krakowa, gdzie dostał się do redakcji „Nowej Reformy". Okoliczności zmusiły go widocznie do pewnego konformizmu. Pisywał, on, krytyk literacki, błyskotliwe artykuły strategiczne sygnowane pseudonimem. Jak cała redakcja „Nowej Reformy" wierzył w zwycięstwo państw centralnych i na tej podstawie snuł wizję przyszłości. Artykuły podobały się czytelnikom, ale ich autor naraził się przez swą kanciastość i złośliwość, wybitnemu publicyście Konstantemu Srokowskiemu, a także Irzykowskiemu. Jego współżycie z oboma układało się jak najgorzej. A do tego przyszły i inne, przykre sprawy. Dąbrowski, erotoman, wdał się w Krakowie w romans ze swą gospodynią, starszą kobietą i dewotką, która żądała kategorycznie, aby się z nią ożenił. A gdy Dąbrowski odmówił, zaczęła przeciw niemu kampanię nieprzebierającą w środkach. Wyprawiała mu awantury na ulicy i w redakcji, zwracała się ze swymi skargami do różnych wpływowych osobistości, oczerniała go na każdym kroku. Dąbrowski, ścigany przez nią, nie pokazywał się w domu i ukrywał się przed rozszrożoną kobietą, która stała się zmorą ostatnich dni jego życia. Tymczasem bowiem tkwiąca w nim już od dawna choroba, gruźlica gardła, zaczęła robić zastraszające postępy. Dąbrowski zdawał sobie sprawę z tego, co mu grozi i starał się ratować. Ale w ówczesnych warunkach wojennych i przy braku potrzebnych środków pieniężnych, było to rzeczą nader trudną. Na próżno kołatał o pomoc u dawnych kolegów i znajomych. Tylko redakcja w w której pracował, udzieliła mu niewielkiej zapomogi. Dzięki niej mógł wyjechać do Zakopanego, gdzie się leczył, ale gdy fundusze wyczerpały się, musiał powrócić do Krakowa. Stan jego pogarszał się coraz bardziej. Czując zbliżający się koniec, wyjechał do Stryja, gdzie mieszkała jego siostra. Tam też zmarł z początkiem 1919 roku, u progu nowej, powojennej ery. W roku 1927 przypomniał go Płomieński wydając „Księgę pamiątkową ku czci Tadeusza Dąbrowskiego" oraz studium „Zapomniany krytyk".

Kreśląc sylwetki tych, niewątpliwie wybitnych polonistów, nie mogę pominąć też osoby Adama Skwarczyńskiego, kolegi i nieodłącznego towarzysza Tadeusza Dąbrowskiego. Pamiętam go również dobrze z lwowskiego gimnazjum. Był to już wówczas chłopiec bardzo poważny, skupiony, zamknięty w sobie, bardzo inteligentny i przenikliwy, jeden z tych ludzi, którzy właściwie nigdy młodymi nie byli. Obcą mu była wszelka łobuzeria, obce wszelkie „młodzieńcze wybryki". Takim też był i na uniwersytecie. Niski, drobny, z małą bródką, był postacią charakterystyczną. Rozporządzał dużą wiedzą w różnych dziedzinach, doskonale prowadził secesyjne „Koło Polonistów", założone jako przeciwwaga do „Kółka Polonistycznego" opanowanego przez endeków. Naukowych ambicji w dziedzinie literatury nie miał. Poświęcił się polityce. W późniejszych czasach działał pod znamiennym pseudonimem „Stary". Związany z obozem Piłsudskiego był redaktorem „Gazety Polskiej" i założycielem pisma „Droga", głównego organu ideologicznego swego obozu. Dążył do stworzenia modelu nowoczesnego Polaka w odrodzonym państwie, przy czym opierał się na ideach Stanisława Brzozowskiego. Działalność przerwała mu jednak ciężka choroba (Heine Medina), która unieruchomiła go na długie lata. Zmarł w kwietniu 1934 r.

PROF. DR ZDZISŁAW ŻYGULSKI

IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

„KONKRET" PO PRÓBIE

Grupa „KONKRET" jest już po drugiej wystawie. Można zatem przyjrzeć się poczynaniom twórczym grupy z całym krytycznym dobrodziejstwem inwentarza.

Po pierwszej wystawie, mającej charakter wstępnej prezentacji przeważnie debiutujących autorów, uzyskaliśmy określony zasób informacji o problematyce artystycznej, o kierunkach poszukiwań twórczych i niepokojach ideowych nurtujących „Konkret" jako grupę twórców — działaczy. Druga wystawa — w rok po pierwszej — powinna już być rozwinięciem idei w sposób ekspansywny ale i precyzyjny; powinna wyraziściej ukazać perspektywy ideowe grupy. W każdym bądź razie — powinno się przy tej okazji dokonać jakieś skrystalizowanie osobowości zespołu twórców określających się jako „Konkret".

Nowe wystąpienie grupy „Konkret" zostało pomyślane jako eksperyment w swoim rodzaju. W ciągu tygodnia każdy z siedmiu uczestników miał n a m a l o w a ć jeden duży obraz sztalugowy o wymiarach 3 na 2,5 m. Plonem jest właśnie wystawa owych siedmiu obrazów. Wystawa została poszerzona o reportaż fotograficzny Włodzimierza Parysa z aktu twórczego — tygodnia pracy poprzedzającego wystawę. Pomysł organizacji takiego wydarzenia był więc ciekawy — miał bowiem unaocznić drogę, jaką przemierza dzieło sztuki od czystego zamysłu, poprzez realizację, aż do końcowego materialnego efektu. Ale eksperyment ten miał jednocześnie ulec obiektywizacji poprzez siedmiokrotne i jednoczesne jego przeprowadzenie. I dopiero taki efekt końcowy: siedem płócien łącznie z dokumentem fotograficznym, miało stworzyć w s p ó l n y epilog aranżacji w postaci jednego zbiorowego dzieła sztuki. Taka przynajmniej narzuca się interpretacja tego typu zamierzenia grupowego.

Potem — po likwidacji wystawy — zdjęte ze ścian płótna kończyć powinny swój żywot, ich wzajemna funkcja winna się rozpaść. I w tym momencie eksperyment należałoby uznać za zakończony.

Otóż — wydaje się — że wśród członków grupy brak było chyba jednorodnego stanowiska co do charakteru takiego eksperymentu, stąd też wystawa daje efekt czegoś nieokreślonego, niedopowiedzianego.

Zamierzenia, jakie przyświecały poszczególnym członkom grupy nie były chyba spójne. Reżim warsztatowy, jaki narzucili sobie konkretowcy — bo miały to być obrazy malowane tradycyjnie — niespójność tę chyba jeszcze pogłębił. Tak więc część obrazów została przygotowana podobnie jak się to robi na jakąkolwiek wystawę, bez odniesienia wobec konkretnej sytuacji plastycznej jaką stworzyć miała taka właśnie eksperymentalna impreza. Stąd i nie dostrzegło się owej kolektywnej i jednorazowej kulminacji, poza którą udział każdego z wystawionych obrazów, mógłby już nie mieć żadnego znaczenia. Być może stanęła temu na przeszkodzie indywidualność poszczególnych twórców, może rutyna. Obrazy Strumiłły, Hałata czy jeszcze Hungera są więc całkowicie autonomiczne, przemawiają tylko i wyłącznie w imieniu swoich autorów. Pokazanie tych obrazów na jakiejkolwiek ekspozycji nie wprowadziłoby do odbioru tych realizacji żadnej zmiany.

Najlepiej chyba trafiła w

Andrzej Jocz-„Konkret".

Fot. W. Parys

istotę aranżacji Romana Hałat. Jej popartowski wizerunek ściany zdobnej w rzucik, najbliższy jest również nazwie grupy — poprzez swą konkretność. Pamiętając z pierwszej wystawy przedmioty — cytaty Kosińskiego, wydawało się, że obraz, jaki wyjdzie spod ręki tego twórcy, będzie kontynuacją tamtych propozycji. Tymczasem Kosiński pokazał poprawny informel z jakimiś pierwiastkami surrealizmu — realizacje sprawną, ale w związku z nadzieją z jaką oczekiwaliśmy wystawy, niestety pozostawiającą zbyt wiele niedosytu. Podobnie obrazy Jocza i Nawrota nie wychodzą poza możliwość rozgrywania problematyki czysto malarskiej na płaszczyźnie płótna.

Ocena zatem może się odnosić do poszczególnych obrazów a nie do wystawy jako pewnej koncepcyjnej całości. W atmosferze posuchy na łódzkim rynku plastycznym druga manifestacja grupy „Konkret" miała charakter istotnego wydarzenia, jednakże zabrakło jej tego, co w obliczu kryzysu w sztuce staje się wymiarem z d a r z e n i a.

Listy DO REDAKCJI

SZANOWNA REDAKCJO!

Jestem skromną krawcową, pracuję chałupniczo. Najlepiej wypoczywam z książką w ręku, a zwłaszcza z książką ulubionego pisarza, którym jest pan Jan Huszcza.

Moim zdaniem, pan Huszcza w pełni zasłużył na miano łodzianina i to nie tylko roku 1970. Gdyby warunki konkursu pozwalały, głosowałabym na p. Jana Huszczę trzykrotnie. Między innymi przyznałabym pierwszeństwo w konkursie p. Huszczy za to, że po latach wojennej tułaczki osiadł na stałe w Łodzi, mieście powszechnie uważanym za miasto brzydkie, ponure. Za to, że zżył się z tym miastem i uznał je za swoje.

No i oczywiście za wspaniałą twórczość. Huszcza nie pisze dla sławy, rozgłosu. Pisze dla ludzi. Jego książki są żywe, przemawiają, wzruszają.

Wielce cenię tego pisarza za bogactwo przeżyć, za wiele wzruszeń doznanych przy czytaniu Jego książek.

Głosując na pana Jana Huszczę — łódzkiemu pisarzowi za wspaniałą twórczość należne uznanie oddaję. Przykre, że recenzenci tego zwyczaju nie mają.

Z poważaniem
ALICJA STANISŁAWSKA

TV OBIEKTYW

NOWE ZADANIA — NOWY TON

Od dłuższego czasu miałem ochotę poświęcić któryś T—O tygodnikowi społeczno-politycznemu „Kraj". Nie byłem jego entuzjastą. Poza niewielu wyjątkami wiało odeń nudą. Tak jakby redaktorzy tego TV periodyku obrabiali swoje pólko bez przekonania.

Skoro więc z jednej strony dało się zauważyć, że do dyspozycji „Kraju" stoją wszystkie nowości techniczne, jakimi dysponuje Telewizja Polska, skoro czuło się, że programowi temu chce się stworzyć preferencyjne warunki (rezerwując mu m. in. czas „optymalnego oglądania" między filmem telewizyjnym a Teatrem Piątkowym) — to z drugiej strony magazyn prowadzony był w sposób bezbarwny, a z kadry jego prezenterów na dobrą sprawę nikt nie przekroczył granicy poprawności.

Nie wnikajmy w tej chwili w to, że „Kraj" wprzęgnięto od początku jego emitowania w służbę błędnej polityki ekonomicznej. Łatwiej dziś z perspektywy ustaleń VII i VIII Plenum dostrzegać te błędy. Nielojalnością byłoby więc z tej pozycji oceniać pracę redaktorów magazynu. Miałem i mam im do zarzucenia suchy i sztampowy schemat tego programu.

Zadawałem sobie nieraz pytanie, czy o ekonomicznych i socjalnych sprawach naszego kraju nie można mówić inaczej? Czy krajowy magazyn nie może pokusić się o dogłębność i kompetencję, z jaką prowadzone są magazyny poświęcone sprawom międzynarodowym: „Światowid" i „Manitor"? Czy wreszcie „Kraj" musi przemawiać pseudofachowym żargonem używanym przez pracowników różnych sektorów naszej gospodarki?

Dochodziłem przy tym do wniosku, że winien tu jest biurokratyczny pośrednik, którego redaktorzy „Kraju" wprowadzali pomiędzy pulsującą tkankę autentycznego życia i odbiorców ich programu. Prawda, że magazyn zaczyna się od stereotypowej ankietki dźwiękowej „Jak minął tydzień?". W ankietce tej czasem zabrzmiały akcenty autentyzmu. Ale ten kontakt z życiem wyrzucony był jak gdyby przed nawias, poprzedzał magazyn, nie wiążąc się z nim integralnie.

Obserwując telewizję w ostatnich tygodniach, dochodzimy do wniosku, że zaistniała realna szansa odnowy także i w dziedzinie publicystyki na małym ekranie. Sprzyja temu ogólna twórcza atmosfera dyskusji i konsultacji, towarzysząca poczynaniom nowego kierownictwa. Na ekranie pojawiają się ludzie na tle swego środowiska pracy. Jeszcze nie zawsze umieją odrzucić slogan lub skrępowanie samym faktem występowania przed kamerą. Jeszcze pytania zadawane im przez dziennikarzy telewizyjnych zbyt sygnalizują z góry odpowiedź, jaką chce się uzyskać. Ale każdy przyzna, że coś się w Dzienniku Telewizyjnym i w publicystycznych programach krajowych zmienia.

Zmienia się, albo raczej zarysowuje się dopiero szansa zmiany. Szansa, którą łatwo zaprzepaścić, utopić w gadulstwie i upiększaniu naszej rzeczywistości. Nie chcemy, by na ekranach telewizorów panował zgrany do gruntu nastrój „fajno jest". Chcemy, by publicystyka telewizyjna zachowywała właściwy kontakt z rzeczywistością, odzwierciedlała ją, a nie zakłamywała.

Łączy się to chyba z szerszym problemem reedukacji naszego dziennikarstwa i reedukacji odbiorców. Dziennikarze rezygnować powinni ze zbiurokratyzowanych źródeł informacji; docierać do źródła, to jest do samego życia w jego skomplikowanej strukturze. Zaś czytelnik — widz — słuchacz, winien się nauczyć odbierać obraz naszej rzeczywistości, odzwierciedlany przez środki masowego przekazu, w sposób poważny, pełen gospodarskiej troski, oczyszczony z płaskiej pogoni za sensacyjnością.

Czy publicystyka telewizyjna sprosta nowym zadaniom? Pewne jej osiągnięcia programowe pozwalają przypuszczać — że tak. „Polska zza siódmej miedzy", reportaże Józefa Wiechowicza, „Godzina szczerości".

A magazyn „Kraj", od którego zacząłem? Osobiście postulowałbym zastąpienie go innym programem. Po co ożywiać odrętwiałą formę i krępować się nie najlepszymi nawykami? Telewidzowie z pewnością życzliwie powitają nowy magazyn krajowy, wolny od błędów popełnianych w przeszłości, szukający świeżych form wyrazu, zestrojony z naszą codziennością.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Film Johna Schlesingera „Z DALA OD ZGIEŁKU" nie zawiedzie tych, którzy zechcą go obejrzeć. Dla współczesnych Thomasa Hardy'ego autora powieści, którą Schlesinger adaptował, odległość od zgiełku miała swój jednopłaszczyznowy wymiar — przenosiła w świat wiejskiej Anglii końca XIX wieku, w świat ludzi których życie wymierzały pory roku, czasy urodzaju bądź klęski, którzy borykali się wprawdzie z kaprysami losu, przeżywali go jednak jedynie na swój własny rachunek. Jednostkowy wymiar spraw oddalał ich od gwałtownych i ważnych spraw ogólnej społeczności.

Widzów swego filmu Schlesinger nie tylko przenosi w świat bohaterów powieści Hardy'ego, pozwala oddychać spokojem angielskiej wsi i przeżywać namiętności, którymi opanowani są bohaterowie opowieści, stwarza także sytuację, od której odwykliśmy — pozwala zapomnieć o czasie, choć właśnie czas jest bohaterem filmu i on określa drugą płaszczyznę owej odległości. Schlesinger, pozostając zresztą w pełnej zgodzie z epickim charakterem powieści, proponuje film tak daleki temu, czym legitymuje się współczesne kino, ba, jego własne wcześniejsze filmy („Rodzaj miłości", „Billy kłamca", „Darling"), że wydaje nam się, że oglądamy bardzo stare kino. Jednakże współczesne aktorstwo, świetna, popisowa w niektórych scenach sztuka operatorska i wyczuwalna kreacyjna świadomość reżysera, przypomina nam czas realizacji. Poza tym Schlesinger wydaje się „niedzisiejszy" — nie wstydzi się swych bohaterów, obdarza ich namiętnościami, które zazwyczaj się ukrywa, uczucia ich demonstruje manifestacyjnie, nie boi się zarzutów melodramatyzmu. Ich kontrapunktem czyni sielankowy, arkadyjski pejzaż wsi angielskiej i nadmorskich brzegów. Kształt obrazów określa w tym filmie zarówno literacka jak i malarska tradycja sztuki angielskiej wzbogacona możliwościami filmowej sztuki operatorskiej.

Schlesinger zdaje się w swoim filmie mówić: nie śpieszcie się, smakujcie piękno natury, które dziś nie jest wam już dane, pozwólcie swym zmysłom chłonąć barwy i soczystość natury, dotyk i smak wiatru, słońca, deszczu i trawy. Schlesinger więc się nie śpieszy, choć mógłby swej opowieści i opisom nadać żywsze tempo, ludziom dla których czas jest dziś tak cenny, proponuje chwilę bezruchu. Nie wynika on wcale z samej opowieści, jest ona przecież bogata w zdarzenia, wypełniona burzliwymi nastrojami, lecz jest wynikiem jej rytmu i zawartości. Nie wolno z niej nic opuścić, trzeba przeżyć i smakować każdy jej szczegół.

Oczekiwanie czyli konkretny czas wypełnia życie bohaterów filmu: Bathsheba czeka na miłość, mężczyźni czekają na Bathshebę. W oczekiwaniu wypełnionym codziennością pracy i współżyciem z naturą jest szansa osiągnięcia harmonii życia.

* * *

„PIĘŚCI W KIESZENI" Marka Bellocchia to film, któremu czas dzielący nas od jego premiery na pewno zaszkodził. Zrealizowany w 1965 roku, przyjęty został przez włoską krytykę entuzjastycznie. Traktowano go jako wyraz nowego, bardzo ostrego spojrzenia na włoską rzeczywistość. Na tle ówczesnej produkcji debiut Bellocchia uznano nie tylko za sukces artystyczny młodego reżysera, ale przede wszystkim, za mocny i ważki głos krytyki mieszczańskiej moralności — tym odważniejszy, że atakujący instytucję rodziny, traktowanej jako symbol burżuazyjnego społeczeństwa. Broniono Bellocchia przed zarzutem, iż wiwisekcję przeprowadza na przykładzie w końcu nietypowym, na rodzinie, której członkami są psychopaci. Uważano, iż dzięki temu mógł swą krytykę przeprowadzić tak właśnie bezkompromisowo i wyraźnie.

Z perspektywy czasu „Pięści w kieszeni" traktować można jako jaskółkę wielkiej fali kontestacji, której wyrazem stała się w ostatnich latach nie tylko przecież zbuntowana sztuka filmowa młodych kontestatorów Zachodu. Choć wymowa tego filmu nieco zwietrzała wraz z upływem czasu i w całym kontekście zachodniej kontestacji, wydaje się jednak szlachetną jej odmianą. Bellocchio bowiem zachował właściwy dystans wobec zbuntowanego bohatera swego filmu. Wynika on ze świadomości jego psychopatycznych odchyleń oraz ironicznej świadomości fałszu jego intelektualizmu. Tworząc postać uosabiającą bunt młodości przeciw zastanym wartościom, nie musiał Bellocchio obdarzać jej chorobą determinującą myśl i działanie. Jeśli jednak tak uczynił, to chyba właśnie po to, by swój atak na burżuazyjne społeczeństwo uczynić gwałtowniejszym. Tylko chory Alessandro mógł pozwolić sobie na niszczenie tego, co jest symbolem ojczyzny, rodziny, religii, a więc wszystkiego, co stanowi dziedzictwo przeszłości. Za postacią Alessandra kryją się jednak ludzie zdrowi, których choroba nie tłumaczy. Ich kontrapunktem jest właśnie szalony bohater filmu, jego działanie zaś wywołuje reakcje, które są wyrazem zła i fałszu moralnego tych, którzy za swe życie i czynny odpowiadają. „Uczciwy" brat Augusto, uosabiający świat „zdrowych" ludzi jest głównym kierunkiem ataku Bellocchia.

EWA NURCZYŃSKA

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

MÓZG ELEKTRONOWY I PORCELANA Z SEVRES

Niedawno ekspert francuski muzeum w Luwrze, Pierre Verlay oznajmił, że dwie trzecie spośród wyrobów uchodzących za porcelanę sewrską — to falsyfikaty fabrykowane w ubiegłym stuleciu w Anglii. Oświadczenie to wywołało ogromne poruszenie wśród

Waza porcelanowa z błękitnymi sikorkami na gałązkach głogu. Produkcja Manufacture de Sevres. 1907

kolekcjonerów. Niektóre przecież egzemplarze kupowane były na licytacjach za ogromne sumy, nawet za 130 tysięcy franków. Trudności wykrycia f - fikatów były jeszcze do niedawna prawie niemożliwe, bowiem podrabiane obiekty nie różnią się właściwie niczym od oryginalnych. Ale ostatnio pewien amerykański specjalista, dr Carl G. Dauterman wpadł na pomysł zużytkowania komputerów dla wykrycia tego rodzaju falsyfikatów. Jego sposób jest w tej chwili jedynym, który może posłużyć do rozwiązania tego problemu. Otóż w Sevres, gdzie jak wiadomo od XVIII wieku wyrabiano światowej sławy porcelanę, zachowały się księgi rachunkowe. W nich to poszczególni wytwórcy notowali daty i umieszczali podpisy w odniesieniu do każdego sprzedawanego egzemplarza. Identyczne daty i podpisy tyle były na poszczególnych obiektach porcelanowych. A zatem wystarczy stwierdzić zgodność daty wraz z podpisem w księgach z takimż podpisem i datą na danej wazie czy innym przedmiocie porcelanowym by mieć pewność, że przedmiot ten wyszedł z sewrskiej manufaktury. Dokonanie jednak takiej pracy przez wielu nawet ludzi byłoby niemożliwe ze względu na ogromną ilość obiektów. Tymczasem żmudną tę i czasochłonną pracę może wykonać w mgnieniu oka komputer. Przeprowadzone próby porównawcze z zastosowaniem do tej pracy komputera dały już wyniki. Wykryto w ten sposób dużą ilość falsyfikatów. Wśród kolekcjonerów wywołuje to zrozumiałe zaniepokojenie.

Muzea amerykańskie mają zamiar zastosować metodę dr Dautefmana do ustalania autentyczności i innych obiektów, nieraz niezwykle cennych dzieł sztuki, począwszy od zabytków egipskich aż do obrazów Rembrandta.

WYSTAWA DÜRRENMATTA W MOSKWIE

Friedrich Dürrenmatt popularny i u nas, szwajcarski dramaturg, nowelista, eseista oraz autor powieści kryminalnych o treści społeczno-krytycznej, obchodzi w tym roku pięćdziesięciolecie swych urodzin. Z tej okazji — jak informuje m.in. „Neue Zuercher Zeitung" — Państwowa Biblioteka Literatury Obcojęzycznej w Moskwie przygotowała specjalną wystawę dla uczczenia twórczości szwajcarskiego pisarza.

Na wystawie zostaną pokazane liczne dzieła Dürrenmatta wydawane w Związku Radzieckim w pięciu językach. Pokazane też zostaną prace radzieckiej uczonej Nadieżdy Pawłowej o Dürrenmatcie jak również zbiór dzieł dramatycznych Dürrenmatta wydany w roku 1969 przez radzieckie wydawnictwo artystyczne „Iskusstwo".

Wystawa pokaże też materiały dotyczące inscenizacji w teatrach moskiewskich sztuk Dürrenmatta „Wizyty starszej pani" i „Fizyków".

STARE ZEGARY

W jednym z ostatnich numerów miesięcznika „Die Kunst und das schone Heim" znajdujemy ciekawy artykuł o kolekcjonowaniu starych, czasami niezwykle cennych, artystycznie wykonanych zegarów i zegarków. Autor artykułu Jurgen Abeler informuje w zasadzie o bogatej kolekcji zegarów znajdującej się w muzeum w Wuppertal (NRF), ale przy tej okazji podaje interesujące wiadomości o problemie zbierania takich ciekawych przedmiotów jakimi są stare zegary.

Muzeum wuppertalskie posiada kolekcję 1.500 zegarów z różnych krajów, różnego rodzaju i z różnych czasów. W liczbie tej znajduje się dość bogaty zbiór, bo ok. 80 zegarów wiedeńskich wyprodukowanych w latach 1810 do 1850, niesłychanie wówczas modnych, oraz 32 egzemplarze zegarów renesansowych.

Interesujące są dane o stowarzyszeniach kolekcjonerów. I tak największa liczba zbieraczy starych zegarów znajduje się w Stanach Zjednoczonych. Zorganizowani oni są w towarzystwie „National Association of Watch — and Clock - Collectors", które liczy czternaście tysięcy członków. Anglia w latach 1650 do 1850 była krajem wiodącym w dziedzinie produkcji zegarów. Obecnie znajduje się tam siedmiuset kolekcjonerów zrzeszonych w „Antiquarian Horological Society". Jest przy tym ciekawe, że jakkolwiek zbiory angielskich zbieraczy opierają się w głównej mierze na produkcji własnego kraju, to nabycie obecnie starych zegarów angielskich z siedemnastego czy osiemnastego wieku nie jest w Anglii bynajmniej łatwe. Znacznie łatwiej nabyć te zegary w Niemczech, Austrii czy Francji, a to dlatego, że od roku 1700 Anglia w dużej mierze eksportowała je na kontynent.

Łączenie się miłośników starych zegarów w stowarzyszenia tłumaczy się przede wszystkim tym, że specyfika tego hobby wymaga dużej wiedzy bezustannego śledzenia licytacji, wymiany informacji, oglądania rozmaitych zbiorów zarówno muzealnych jak i prywatnych. Każdy poszczególny egzemplarz zegara to dzieło indywidualne, w przeciwieństwie do np. monet czy znaczków pocztowych wypuszczanych w dużych seriach. Kolekcjoner zegarów musi się dobrze orientować czy stary zegar posiada swój oryginalny mechanizm, czy też został on zastąpiony innym. Zbieracze zegarów mają zazwyczaj swe specjalności. I tak np. jeden ze szwajcarskich kolekcjonerów zbiera zegary jedynie w stylu gotyckim wyprodukowane w latach 1450—1550. Ktoś inny kolekcjonuje zegary jedynie renesansowe, jedna z niemieckich poetek zbierała zegarki wysadzane drogimi kamieniami z obudową pokrytą emalią. Niektóre ze starych zegarów są niezwykle kunsztownie przyozdabiane, mają najprzeróżniejsze kształty. Są w formie instrumentów muzycznych, zwierząt jak np. żółwia czy owadów jak chrabąszcza, czasem jakichś fantastycznych tworów, innym razem lunet, książek do nabożeństwa, tabakierek itd., itd.

Szkoda, że autor artykułu zapomniał o zegarach z kukułką, a zaledwie wspomina o zegarach z mechanizmem muzycznym, nie mówiąc nic bliżej o tak dobrze nam znanych choćby z literatury, zegarach z kurantem, jak ów z „Pana Tadeusza", który za pociągnięciem sznurka wygrywał mazurka Dąbrowskiego.

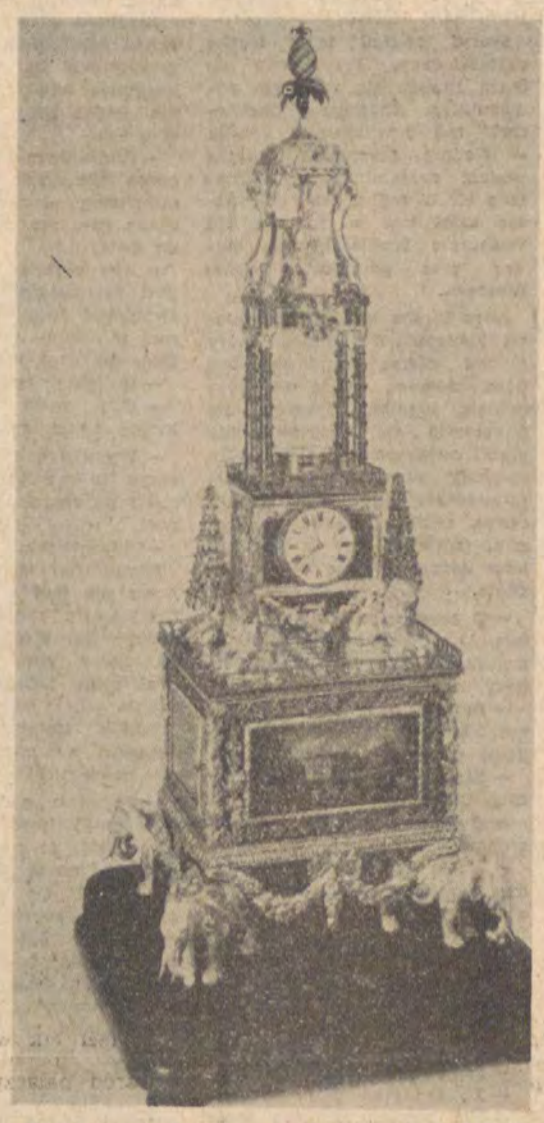

Zegar z mechanizmem grającym, produkcji angielskiej końca XVIII w. — dla cesarza chińskiego

Bez strachu

W OBRONIE WŁÓCZĘGI

Aż nazbyt wielu atakuje włóczęgów, że nieproduktywni, że zakłócają, że hulają, że krzyczą, że żebrzą, a nade wszystko, że się właśnie włóczą, włóczą w sposób bezmierny. Zapewne muszą gdzieś wypoczywać — włóczęga ma wiecznie głodną włóczęgi duszę, ale ma głodne snu ciało, a ciężko, bardzo ciężko spać w czasie spaceru czy biegu — mimo, że nauka w zasadzie zna wypadki snu w czasie chodzenia. Spotkasz zatem zarośniętego, kudłatego, pocerowane ciało włóczęgi, śpiące pod twoimi drzwiami, oczywiście w pierwszej chwili będziesz mało tym widokiem zbudowany, potem jednak, kiedy sobie pomyślisz, że to ciało tylko leży, a dusza pędzi jak żywy słup ognia, gnany wiatrem, kiedy pomyślisz, że pod twoimi właśnie spoczął drzwiami — być może poczytasz sobie nawet za zaszczyt tak niedaleką obecność ciała włóczęgi. Zamkniesz drzwi i pomyślisz, jakże on niewspółcześnie — przepraszam, teraz wobec powszechnego rozrostu bród, raczej jak współcześnie brodaty. Zobacz jego połatane rękawy, jaki on niewspółcześnie, przepraszam, teraz już współcześnie — łaciaty. Przecież kawiarnian, eleganci naszywają na marynarki ceratowe łatki, a tym sam bardzo naraziłeś się pewnym miarodajnym i wpływowym kołom, bowiem nie zgodziłeś się na zapuszczenie brody — jakże proszono cię o to, jakże grożono ci — pozostałeś bezwstydnie gołolicy, ku powszechnemu już niemal zgorszeniu. A jak podbiegał ten czy owy, czy raczej ta czy owa z igłą i ceratową łatką w ręku, aby naszyć ci ową łatkę na nowy garnitur. Pozostałeś nieugięty i oto masz wielu wrogów, złamałeś niejedno serce — utraciłeś może dobrą i wierną towarzyszkę życia: „Ach — westchnęła — gdyby tak był brodaty i łaciaty". I odeszła w dal za brodatą i łaciatą duszą włóczęgi i kawiarnianych elegantów. Dlaczego więc piętnują włóczęgów ci, którzy jak oni, noszą brody i łaty, ci, którzy się włóczą, lub raczej by się włóczyć? Może właśnie dlatego, że pragną i nie mogą, lub wydaje im się, że nie mogą — co w końcu na jedno wychodzi. Przekonanie o niemożności jest faktem o sile równej niemożności obiektywnej. Włóczący, powiadają, śpiewają, a któż nie śpiewa, lub nie pragnie unieść się wielkim śpiewem. Włóczędzy, powiadają, żebrzą, a kto nie żebrze — włóczędzy żebrzą o pieniądze, inni o słowo, o uczucia, o cudze myśli, o miejsce w czyjejś duszy. Włóczęga włazi do cudzego mieszkania — inni wiążą do cudzej jaźni. Kończę już, a raczej nie kończę obrony włóczęgi, bowiem pobił mnie jeden z włóczęgów, mam umysł zamącony — trudno mi powiedzieć, czy biło mnie ciało, czy też dusza włóczęgi, ale bronię nawet ostatnim słowem — któż mnie nie pobił lub nie usiłował pobić? Że niekiedy sam zamiast zadać, dostał guzy, to nie zmienia materialnej ani moralnej prawdy przedmiotu.

BERNARD SZTAJNERT

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

BIBLIA PAUPERUM

TRZY CYTATY — ANATEMA TRWA — Z POZYCJI ZASADNICZYCH — RYZYKOWNE „RYZYKO" — STERTA POLSKICH KOMIKSÓW — „TYTUS, TOMEK I ATOMEK" — NIE ŻARTUJMY! — JAKA JEST URODA KOMIKSU?

Najpierw trzy cytaty. Pierwszy ze „Słownika terminów literackich" brzmi: „Komiksy. Nazwa przyjęta z angielskiego na opowiadania, nowele, powieści przedstawione w obrazkach uzupełnionych krótkimi wyjaśnieniami (...) Typ publikacji rozrywkowych zapoczątkowany w Ameryce". Cytat drugi z książki Stanisława Mierzeńskiego „Amerykanie" brzmi: „Na łamy prasy wprowadza się rozbrajające swą niedorzeczną fabułą powieści obrazkowe tzw. comicsy, śmieszne w swej naiwności i prymitywiźmie..." Cytat trzeci ze „Słownika Wyrazów Obcych" brzmi: „seryjne przygodowe albo humorystyczne opowiadania obrazkowe zaopatrzone w skąpy tekst" — i zaraz autor dodaje — „por. Biblia pauperum". Spoglądamy więc pod to hasło i czytamy „Biblia ubogich tj. analfabetów..."

A zatem wiemy już co to takiego komiks i dlaczego taki tytuł felietonu. Biblia pauperum — ileż w tym określeniu lekceważenia i pogardy! Na ile to uzasadniona pogarda?

Trudno powiedzieć, ale przecież coraz częściej komiks, nasz rodzimy, polski próbuje zawrzeć treści wcale nie naiwne i prymitywne, choć na pewno czyni to w sposób lekki i rozrywkowy. Wieloletnia anatema, jaką obłożono kiedyś ten gatunek, pokutuje i dziś. Kiedy w 1954 bodaj roku młodzieżowy tygodnik „Dookoła świata" wystąpił z cyklem komiksowym, niektórych pryncypialnych czytelników zatkało z oburzenia. I to wcale nie dlatego, że komiks był nadzwyczaj nędzny, choć współautorką była zupełnie niezła pisarka. Protesty przeciwko komiksowi były więc z tzw. pozycji zasadniczych — że zgnilizna, że Ameryka, że w ogóle nie wypada i wstyd...

Przed paroma laty publicystów zatrzęsło z oburzenia, kiedy ukazał się pierwszy bodaj w Polsce w masowym nakładzie komiksowy zeszyt „Ryzyko". Znów poszły w ruch stare argumenty, że płycizna, że naiwność, że lekcja złego smaku...

Nie dyskutuję z tymi argumentami i nie przyznaję im racji. Po prostu szkicuję powojenną historię polskiego komiksu. Oczywiście nie jest to gatunek, który mógłby unieść treści wielkiej literatury psychologicznej. Ale czy w ramach tego specyficznego gatunku piśmiennictwa ożenionego z plastyką nie można zawrzeć treści zupełnie nam bliskich? Oczywiście można, choć z natury rzeczy nie będą to — bo nie mogą być — treści pogłębione.

Czy więc warto? Skoro są czytelnicy, to jednak chyba warto. Zwłaszcza, że dziś komiksów nie czytają dorośli, są one zresztą adresowane wyłącznie do młodzieży. Kiedy się wyrasta z krótkich majtek — wyrasta się i z komiksów. Ale pozostaje ciekawość świata i zdarzeń, pozostaje nawyk obcowania ze słowem pisanym — choćby nawet na początku były to słowa wpisane w charakterystyczny „dymek" z ust bohatera komiksu.

Leży przede mną stos polskich komiksów. Zaczytana do szczętu — pożyczona od mojego trzynastoletniego syna — seria „Podziemny front" o Batalionie AL „Czwartacy". Seria „Ryzyka" o przygodach kapitana Żbika — walka z bandą przemytników, sensacyjna kradzież 12 mln złotych, tajemnica starego młyna... No i wreszcie urocze, zabawne komiksy z przymrużeniem oka — „Tytus, Romek i Atomek", literacko chyba najlepsze serie zupełnie zwariowanych przygód kilkunastoletnich chłopców i małej małpki. Wszystkie trzy serie bardzo kolorowe, niezbyt drogie i naprawdę zajmujące. A że treści zawierają wychowawcze i kształcące, nie widzę nic zdrożnego w popularności tych kolorowych serii wśród rówieśników mojego syna.

Osobną pozycję stanowi trzytomowa seria „Przygód czterech pancernych". Autorem książki jest — jak wiadomo — Janusz Przymanowski, ale autorem komiksu w głównej mierze Szymon Kobyliński. Mistrz grafiki i rysunku nie potraktował zamówienia Wydawnictwa Harcerskiego lekceważąco. „Przygody" są naprawdę pięknie rysowane, choć, oczywiście, utrzymane w konwencji gatunku. Poligraficznie jednak jest to książka ubożuchna, przytłacza szarzyzną i... ceną. Trzy zeszyty „Przygód" kosztują... 75 zł, co już jest wykroczeniem przeciwko konwencji komiksu, który powinien być tani.

Ostatnio spotykałem w poważnych pismach dość dowcipne żarty z owych rodzimych komiksów. Nie powiem — też się śmiałem, ale nie wpadajmy w przesadę! Na komiks spójrzmy z odrobiną poczucia humoru i z taryfą ulgową przynależną temu gatunkowi. Nie stawiajmy zarzutów, że to bryk — bo komiks jest brykiem z samej swojej natury. Trudno — taka jego uroda. Pretensje, że komiks nie jest literaturą i nie jest plastyką, mają taki mniej więcej sens, jak pretensje, że abstrakcja nie jest figuralna, a „Ulissesa" trudno się czyta. Komiks to po prostu czytanka, a z czytanek się wyrasta i sięga wówczas po prawdziwą literaturę.

WYJAŚNIENIE

W „Odgłosach" z 21. II. 1971 r. znalazła się w moim felietonie informacja o występie Czesława Niemena w Radomsku, zaczerpnięta z prasy terenowej. Wobec oficjalnego oświadczenia PAGARTU i Federacji Jazzowej dementującego fakt niestosownego zachowania się piosenkarza na występach w tym mieście — dokonałem już w czasie druku pisma — odpowiednich zmian. Niestety — z winy korekty — informacja ta znalazła się w piśmie w poprzednim brzmieniu, za co przepraszam Cz. Niemena i Czytelników.

JERZY WIDOK

ALEX WOLF

ALIBI

Las był tu gęsty i ciemny, mężczyzna szedł powoli. Wtem zatrzymał się, usłyszał szelest gałęzi i liści. Za chwilę nawet ciężki oddech kogoś, kto się zbliżał... Człowiek zrobił jeszcze dwa kroki naprzód, ostrożnie. Nagle zobaczył przed sobą lufę strzelby i w tej samej chwili błysk okna, rozległy się dwa strzały. Mężczyzna upadł na ziemię, z twarzą poszarpaną nabojami. Po minucie nie żył.

Szeryf Dawid Sable przybył na miejsce ze swymi pomocnikami. Telefonował do niego pewien myśliwy, który wracał lasem do domu. Szeryf zbadał trupa, a potem oczekiwał przybycia lekarza i prokuratora.

Sable nie potrzebował badać dokumentów zmarłego, znał go dobrze. Wiedział, że to kiedyś nastąpi wcześniej, czy później. Teraz nakazał swym ludziom, aby dla dobra śledztwa nie rozmawiali z nikim na temat zbrodni. Także zabójca był znany szeryfowi, lecz należało udowodnić mu zbrodnię.

☆ ☆ ☆

Sebilla Kalagan miała czterdzieści lat, lecz wyglądała dużo młodziej. Obdarzona zgrabną figurą i urodą umiała wykorzystywać swe wdzięki. Przed kilku laty poślubiła bogatego siedemdziesięcioletniego Kima Aslera. Zmarł po trzech latach na zawał serca.

Sebilla mieszkała teraz we wspaniałej willi wraz z bratem Arturem, pięknym młodzieńcem, za którym szalały kobiety. Miliony pozostawione przez Aslera służyły także Arturowi...

— Jakiż dobry wiatr sprowadza pana do mnie, szeryfie? — zdziwiła się Sebilla. Była sama w domu i oglądała telewizję.

Szeryf usiadł w fotelu i zapytał: — O której godzinie wyszedł z domu pani brat?

— Myślałam, że pana wizyta jest bezinteresowna! — wykrzyknęła rozczarowana Sebilla. — Przyszedł pan nie do mnie, lecz do Artura. Trudno. A więc wyszedł o godzinie 21.

— Czy pani jest pewna?

— Chwileczkę... O której godzinie zaczyna się program telewizyjny „Wielka Nagroda"?

— O 21.

— Artur wyszedł minutę lub dwie po 21.

— Czy nie powiedział dokąd idzie?

— Artur nigdy mi tego nie mówi. Czy to dziwne? Jest młody, ma powodzenie i kobiety bardzo mu się podobają.

— Kobiety czy Maria Linton?

— Szeryfie, czy i pan także słucha plotek?

— Droga pani, nie bawmy się w ciuciubabkę. Znamy się dobrze i wiemy, że Artur stracił głowę dla Marii Linton. I od tego czasu, gdy ktoś „życzliwy" powiadomił o tym jej męża, Jamesa Lintona, obaj się nienawidzą... Lecz wracajmy do sprawy. Pani twierdzi, że wyszedł o 21. Czy często przebywał aż do 21 w domu?

— Jedliśmy razem kolację. Ale dlaczego par.. mi zadaje te pytania? Czyżby coś się wydarzyło memu bratu?

— O tym się pani dowie we właściwym czasie.

Szeryf opuścił willę trochę rozczarowany. Przybywszy do biura spotkał się ze swym pomocnikiem Naderem i opowiedział mu o wizycie u Sebilli.

— Według orzeczenia lekarza śmierć nastąpiła między godziną 19 a 20. W takim razie jak Artur mógł być w domu o 21? Widocznie Sebilla kłamie. Muszę teraz wstąpić do domu Lintona...

Alice Linton była piękną, młodą kobietą. Dla kupca, który musiał nieraz tygodniami być poza domem, Alice nie była kobietą idealną. Sytuacja jej pogorszyła się znacznie, gdy plotki związane z osobą Artura zwróciły przeciwko niej całe miasteczko. Alice była zrozpaczona, chciała uciekać z Arturem, rozwieść się z mężem. Lecz Arturowi to się nie uśmiechało.

— O co panu chodzi? — zapytała Alice szorstko widząc wchodzącego szeryfa. — Już po północy, chciałam iść spać.

— Pójdzie pani za kilka minut. Muszę się tylko dowiedzieć gdzie jest mąż.

— Nie wiem, chyba w Barlow City. Dlaczego?

— O której godzinie wyszedł z domu?

— Mogła być godzina 19. James woli podróżować nocą. Czy coś się stało?

— Przypuszczam, że pani wie o tej kłótni, którą niedawno miał pani mąż z Arturem Kalaganem.

— O ile mi wiadomo nie kłócili się już więcej.

— James pani przebaczył?

— To są tylko moje sprawy.

— Nie bardzo, tym się także interesuje prawo. Otrzymałem nakaz na przeprowadzenie rewizji w biurku pani męża.

— Dlaczego? Co się stało? Gdzie jest James?

Szeryf zbliżył się do biurka Jamesa Lintona i otworzył je.

— Zaraz pani powiem — rzekł przeglądając listy i notatki. — Dwaj mężczyźni doprowadzili się do ruiny dziś wieczorem. Pani jest temu winna, że jeden zmarł a drugi będzie powieszony. Tak, powieszony, ponieważ ja udowodnię, że nie może powołać się na obronę konieczną, gdyż jego przestępstwo było dokonane świadomie i celowo.

— Proszę mi powiedzieć, kto został zabity?

Kobieta była przerażona. Szeryf utkwił w niej surowy wzrok i zapytał: — Kogo by pani wolała zobaczyć zabitego? Jamesa czy Artura?

☆ ☆ ☆

O godzinie 2 w nocy szeryf rozkazał swemu pomocnikowi, aby przyprowadził do biura Sebillę Kalagan. Musiał działać szybko, nim się zwalą dziennikarze, radio i telewizja.

Niedługo zjawiła się Sebilla, szeryf uśmiechnął się do niej i podziękował za przyjście. Wykazywała wielkie zdenerwowanie, widać było, że nie zmrużyła oka.

— Chciałabym wiedzieć dlaczego traktujecie mnie jak kryminalistkę! — zawołała. — Dlaczego pan nie pofatygował się do mnie?

— Aby uniknąć pokusy — odparł żartobliwie. — I żeby oświadczyć tutaj, w moim biurze, iż pani mnie okłamała. Dlaczego pani kłamie?

— W jakiej sprawie?

— Gdy pania zapytałem, o której Artur wyszedł z domu.

— Wyszedł z domu o 21. Dlaczego to ma być kłamstwem?

— I po zjedzeniu kolacji z panią?

— Właśnie tak.

Szeryf potrząsnął głową. — Artur nie jadł z panią kolacji. Otrzymałem raport od lekarza policyjnego, który dokonał sekcji zwłok pani brata. Artur miał pusty żołądek, gdy został zabity.

Sebilla Kalagan zbladła — Szeryfie, na miłość boską, co pan powiedział?

— Chciałem podać tę smutną wiadomość jutro, lecz przekonałem się, że pani mnie okłamała i muszę jak najprędzej dowiedzieć się prawdy. Pani może mi pomóc w wykryciu zbrodniarza. Jeżeli był nim James Linton brak mi niestety dowodów. Tylko pani może mi ich dostarczyć. Linton posiada mocne alibi co do godziny 21 w ciągu trzech ostatnich wieczorów. Był od 21 do 23 w towarzystwie osób, które mogą poświadczyć, że nie spuściły go z oczu ani na chwilę. Lecz jeżeli Artur zetknął się z Lintonem przed godziną 21, upadnie alibi Lintona. Pani może wysłać do więzienia mordercę swego brata, mówiąc mi prawdę.

— Artur... Artur... — jęczała Sebilla. Oczy miała zamknięte, łzy płynęły po jej twarzy. Nagle krzyknęła: — Tak, przyznaję się, okłamałam pana! Artur wyszedł z domu o godzinie 19.

— Dlaczego pani kłamała?

— Artur chciał zabić Jamesa wcześniej nim ten zabije jego. Polowali na siebie, pewnie pan o tym nie wiedział. Jeden lub drugi. Lecz mój brat miał pomysł, który wydawał mu się genialny. Wychodząc z domu rzekł do mnie: — Jeżeli jakiś policjant przyjdzie zapytać cię, o której godzinie wyszedłem z domu, odpowiedz, że o 21, czyli w momencie, kiedy zaczynała się w telewizji audycja „Wielka Nagroda". Artur po wykończeniu Lintona chciał się zjawić w Klubie kilka minut po godzinie 21. Miałby żelazne alibi.

— Tymczasem Linton okazał się zręczniejszy.

— Niech będzie przeklęty' — krzyknęła z nienawiścią Sebilla.

Kilka minut później podpisała swe zeznanie.

— Dziękuję pani — ucieszył się szeryf. — Teraz można założyć kajdanki zbrodniarzowi.

— Czy pan go zaraz aresztuje? — zapytała Sebilla.

— Już to uczyniłem. Nader, wprowadź go — rozkazał swemu zastępcy.

Drzwi się otwarły i po chwili wszedł zabójca.

— Artur — krzyknęła Sebilla. Spojrzała na szeryfa i zrozumiała, że wpadła w pułapkę. Zemdlała...

— Pomyliłem się — rzekł szeryf, gdy Sebilla ocknęła się z omdlenia. — Zmarły nie jest pani bratem Arturem, lecz Jamesem Lintonem. Poza tym Linton został zamordowany nie dlatego, że chciał zabić Artura jako kochanka swej żony. Pewnego dnia przyszedł do mnie i oznajmił: — Szeryfie, czy pan mi pomoże, jeżeli otrzymam od jedynego krewnego Kima Aslera upoważnienie na ekshumację zwłok męża Sebilli? Chodzą słuchy, że Asler nie zmarł śmiercią naturalną, lecz że został zamordowany przez swą żonę Sebillę i jej brata Artura. Pragnę, żeby Artur dostał się do więzienia, nienawidzę go. Krewny zmarłego Aslera nazywa się Billy Asler, mieszka w Chicago. Pojadę do niego i poproszę o upoważnienie na ekshumację jego wuja. Jeżeli udowodnię, Billy odziedziczy cały majątek po Kimie. — Zgodziłem się na tę propozycję.

Szeryf zapalił papierosa i mówił dalej; — Lecz wy oboje dowiedzieliście się, jaką zemstę przygotowuje wam Linton i postanowiliście udaremnić jego zamiary zabijając go przed nadejściem upoważnienia z Chicago. Tymczasem upoważnienie już nadeszło, właśnie wczoraj, znalazłem je kilka godzin temu przeszukując biurko Lintona.

Sebilla i Artur milczeli.

— Poczuliście się zgubieni wiedząc, że zaczną się dociekania na temat przyczyn śmierci męża Sebilli. Dlatego Linton przypłacił to życiem. Przyczyną jego śmierci nie jest więc cudzołóstwo żony. Artur nie może tu mówić o obronie koniecznej i dlatego zostanie oskarżony o zbrodnię pierwszego stopnia. A co do pani, Sebillo, pomówimy dopiero po ekshumacji Kima Aslera, pani męża!

Rodzeństwo dalej milczało. Pułapka zatrzasnęła się.

OPRAC. A. S.

Fot. W. Parys

Lewym okiem

KTO WAM, DYREKTORZE, POZWOLIŁ?

Od wielu lat przyjeżdża do Polski parę razy do roku pewien angielski kupiec, który zakupuje u nas jeden z artykułów powszechnego użytku. Dorobił się już na tym handlu ładnego grosza, rozwinął i rozwija nadal swoje przedsiębiorstwo — z korzyścią oczywiście i dla naszego eksportu — ma już tutaj przyjaciół, znajomych, czuje się jak u siebie. Solidne, obustronne, korzystne interesy.

Kupiec przyjeżdża zawsze sam z grubym notesem w kieszeni. Z tego notesu wie wszystko i o wszystkim decyduje sam, od razu.

Z naszej strony dla załatwienia najprostszej, śmiesznie prostej sprawy, jedzie za granicę pięć do dziesięciu osób z ogromnymi teczkami pod pachą, z walizami pełnymi akt. Podczas rozmów z partnerami zagranicznymi przerywają co chwilę te rozmowy celem połączenia się z krajem dla uzyskania dodatkowych informacji, zasięgnięcia rady, uzyskania decyzji. Sami nie decydują o niczym, nie zajmują żadnego stanowiska. Są zawsze i wszędzie urzędnikami, nakręcanymi instrukcją. Budzik nakręca się raz na dobę. Urzędników nakręcać trzeba co chwilę.

Nie, to nie jest wcale wina tych delegowanych osób, a przynajmniej nie zawsze i nie tylko ich wina. Oni nie zostali upoważnieni, czyli wyjęto z nich werk, żeby nie chodzili sami z siebie. Po drugie każdy z nich jest poinformowany o tak wąziutkim wycineczku problemu, że jakiekolwiek pytanie nie przewidziane instrukcją wprawia ich w stan zagubienia we mgle. Cała ich praca w kraju przez całe ich urzędnicze życie oparta jest przecież na koncepcji UZGADNIANIA. Wszystko musi być ze wszystkimi uzgodnione. Nikt nie działa na własne ryzyko, ba — na własny, zdrowy rozsądek. To zresztą najtrudniej uzgodnić, bo trzeba by założyć same zdrowe rozsądki na wszystkich szczeblach wszystkich drabin.

— Kto wam, dyrektorze, pozwolił jechać na naradę bilansową w dniu, kiedy była pilna praca nad planem? — krzyczał niedawno bardzo zagniewany dyrektor centrali na dyrektora jednego z podległych mu przedsiębiorstw. A skrzyczany „działacz" nie miał nawet odwagi powiedzieć, że nikt też nigdzie nie napisał o konieczności uzyskiwania zezwolenia. Że i plan i bilans jego przedsiębiorstwa są po równi jego sprawami i wreszcie niechże ma chociaż prawo podjęcia straszliwej decyzji, czy ma być tu czy tam, czy bardziej tu, a mniej tam, czy na odwrót. Nie, „działacz" przyznał, że nie uzgodnił swego wyjazdu, i dzięki temu przyznaniu uniknął dalszego niepotrzebnego fukania. Na drugi raz pan dyrektor zadzwoni i zapyta, czy iść u siebie w przedsiębiorstwie na naradę piętro wyżej, czy na inną — piętro niżej. „Uzgodni" i dopiero wtedy będzie dobrym dyrektorem. Ech!

Jak wiadomo, dobry producent, dbały o własne, powtarzam, własne interesy, zaopatruje każdy swój wyrób z osobną w króciutką a jasną instrukcję, jak toto użytkować, jak czyścić i przechowywać. Rzecz jest oczywista, ale ostatecznie można się zgodzić, że nie każdy producent potrafi myśleć o wszystkim, można mu to podpowiedzieć. No więc są zarządzenia, które nakazują stosowanie takich instrukcji i pouczeń. Napisano w nich nawet, że instrukcja powinna być czytelna, widoczna, wyraźna. Ale nie koniec na tym, A nuż producent wymyśli coś niesłychanego, a nuż nie zna ortografii?

Więc wielkie zjednoczenie kilkudziesięciu wielkich przedsiębiorstw produkcyjnych, zatrudniających dziesiątki plastyków, ekonomistów, ekspertów, fachowców od reklamy i od konserwacji, poleca każdą najmniejszą instrukcję, obejmującą dwa, trzy zdania, przysłać sobie do zatwierdzenia. Do jednego młodzieńca przy biureczku w najciemniejszym kącie, który jest mądrzejszy od tamtych dziesiątków — jak wyżej. Nie, nie on jest mądrzejszy. On tylko to wszystko zbierze, posegreguje, opisze, ponumeruje, zaksięguje i przedłoży specjalnemu zespołowi.

Do zespołu zaś należą ludzie z różnych instytucji, zajmujący się wszystkim. Najczęściej dyrektorzy i urzędnicy, którzy poza tym należą do dziesiątków innych podobnych zespołów. Biorą w dwa palce dwa — trzy zdania pouczenia i „uzgadniają". Uzgadniają oczywiście parę miesięcy, bo to i zebrać się trudno z całej Polski, i każdy chce coś „wnieść" do sprawy, więc wnosi zastrzeżenia. Potem pouczenie dla klienta jest wreszcie gotowe, zwraca się je producentowi — wnioskodawcy z pouczeniem, jaki ma być format, wielkość, kolor i wystrój karteczki, i uruchamia się ogromny aparat kontroli, czy to wszystko jest aby wykonywane zgodnie z poleceniem. Ech!

Jeszcze tylko felietonów z nikim uzgadniać nie trzeba, po czym albo są drukowane, albo nie, i podobają się albo nie. No i dobrze. ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny) Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 343. S-5.